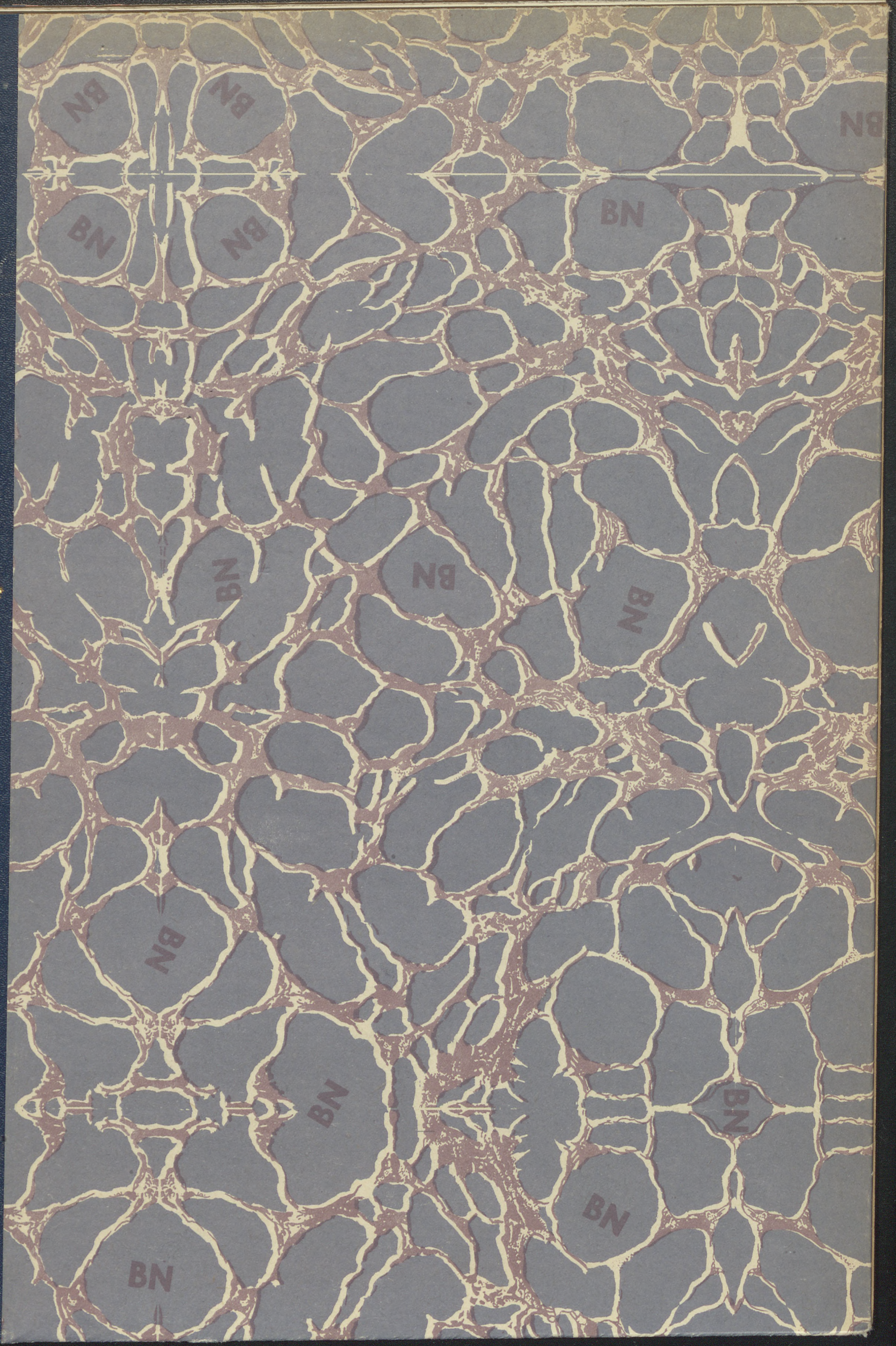
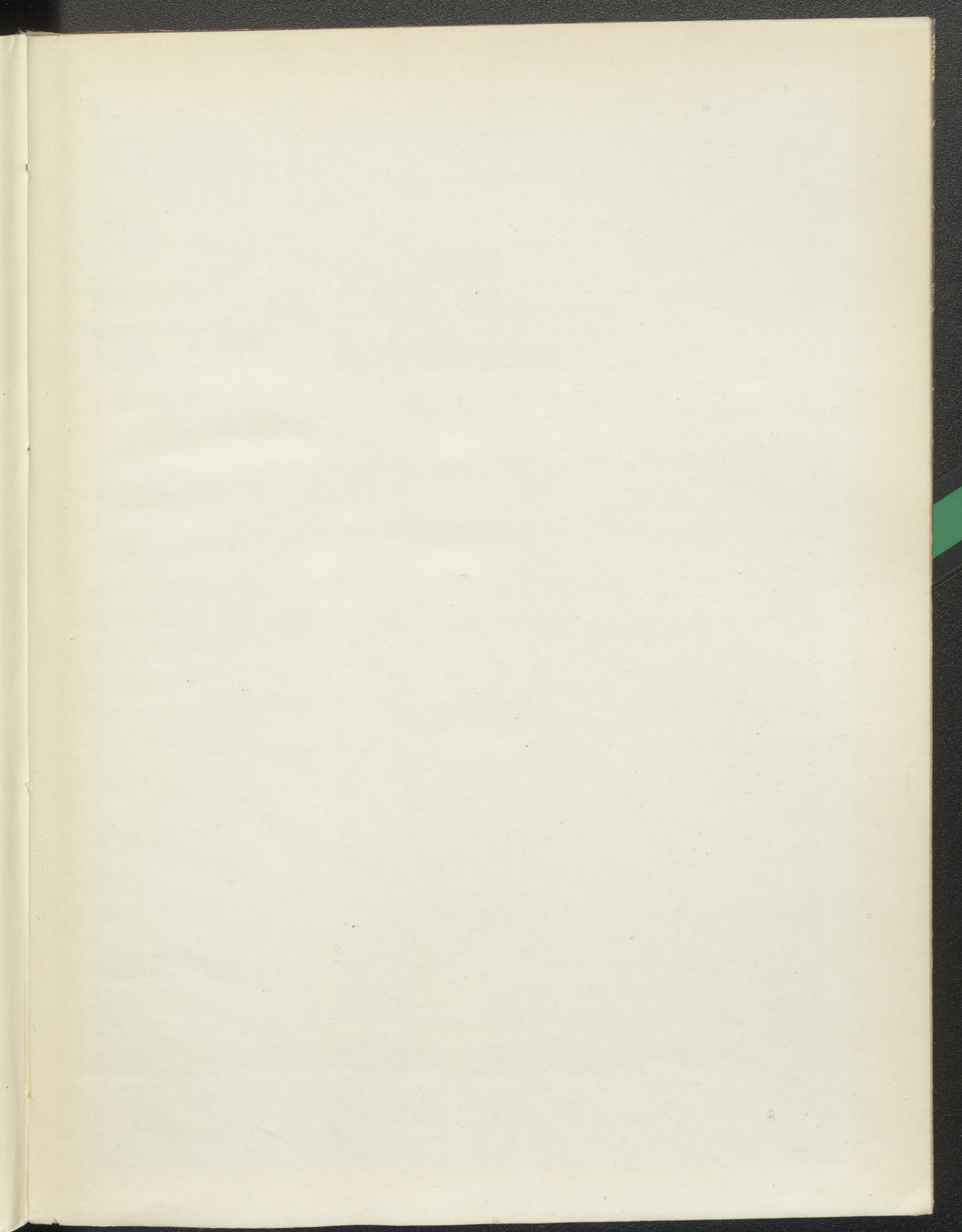


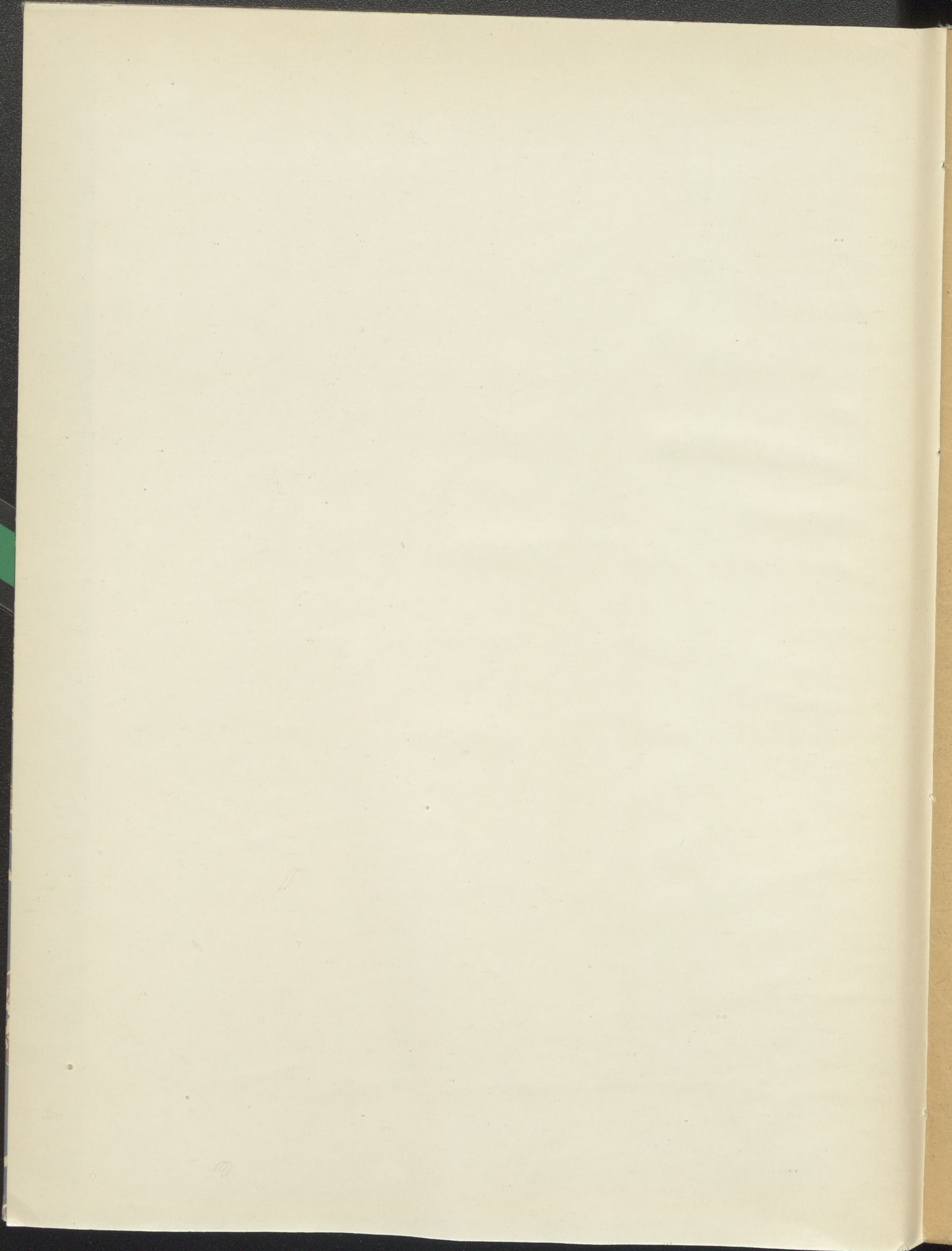
623405

14









III 623.405

14.

KAŻDY ZESZYT STANOWI ODDZIELNĄ CAŁOŚĆ

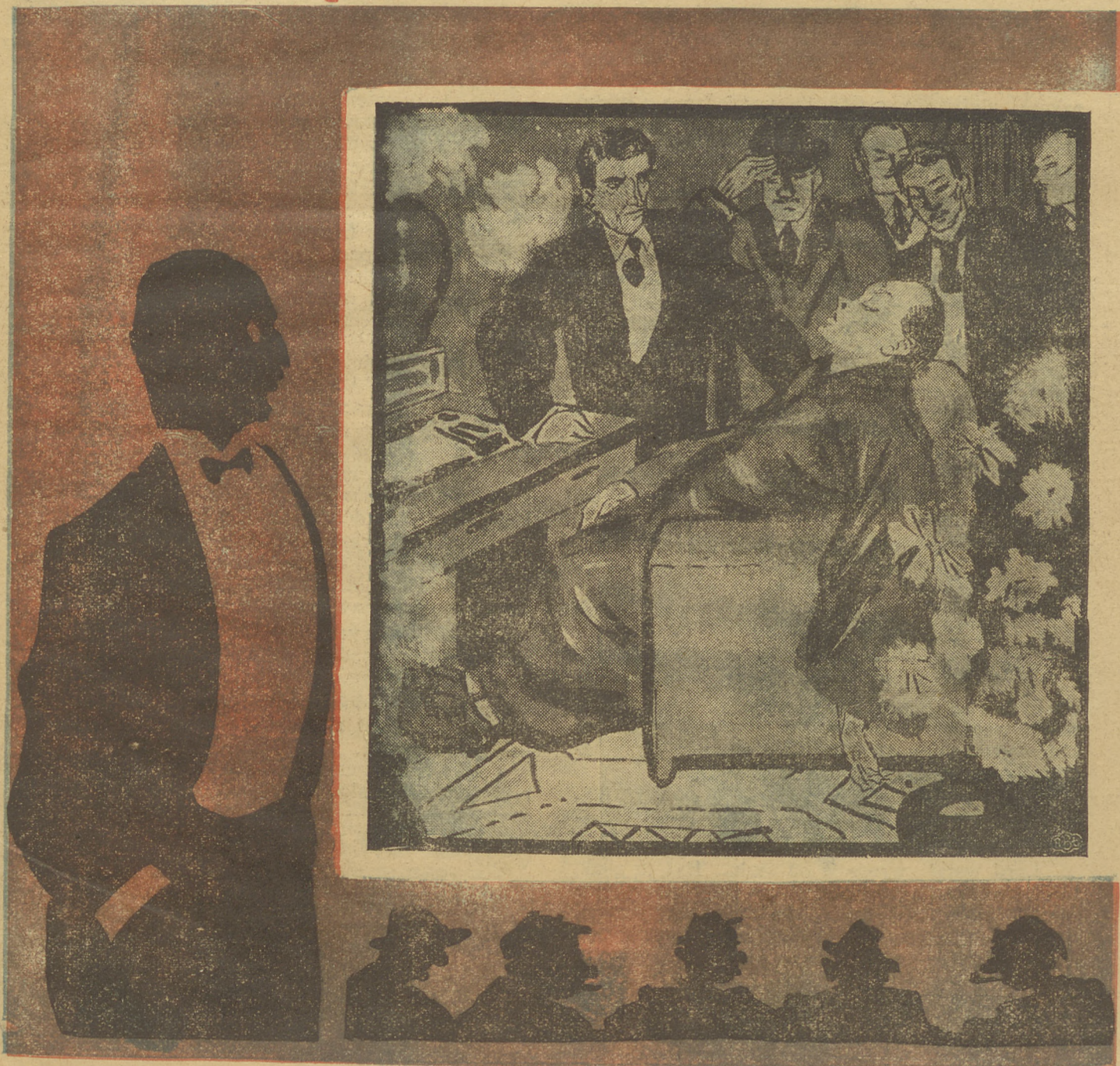
Cena 10 gr.



HARRY DICKSON

PRZYGODY
ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

ŻYJĄCY BUDDA





HARRY DICKSON

PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

ZYJĄCY BUDDA

Dziwna uczta

Przyjęcia u lorda Denverтона nigdy nie były ciekawe, ostatnie zaś było wyjątkowo nudne. Kolacja dłużyła się w nieskończoność a nadmiar wszystkiego była niesmaczna. Potrawy zimne, zakąski nieświeże, ciasto źle wypieczone, mięso przypalone, wina i wódki pośledniego gatunku. Goście byli niezadowoleni.

Pan domu zdawał się nie zwracać wcale na nich uwagi, a jego roztrągnięty wzrok błądził wciąż po sali. Ironiczny a równocześnie dyskretny uśmiech na jego wargach zdradzał złośliwą przyjemność na widok źle obsłużonych biesiadników, uczujących w atmosferze, przesiąkniętej nudą. Ale Denverton był człowiekiem niesłychanie bogatym i mógł sobie pozwalać na kaprysy.

Uczta dobiegała już końca. Goście wiedzieli, że po deserze lord nie będzie ich dłużej zatrzymywał. Po kawie i likierach przyszedł moment wyczekującej ciszy. Ukazał się wreszcie lokaj niosąc na tacy stertę żółtych kopert, z których każda przeznaczona była dla jednego z zaproszonych gości. Powoli okrążył on stół i każdy z biesiadników szybko brał kopertę na której wyczytał swe nazwisko.

Jeden tylko gość nie otrzymał koperty. Jeszcze przed przyjęciem podano mu jednak karteczkę:

— „Proszę nie jeść kolacji z wszystkimi. Zapraszam pana na wieczór“.

Tajemniczy gość zastosował się do tego polecenia z nieklamana przyjemnością, gdyż dania nie były pociągające. Czas wypełnił sobie obserwacją współbiesiadników. W tej chwili mieli oni zadowolone miny, oczywiście z powodu otrzymanych kopert i spodziewanych upominków.

Było ich dwudziestu. Wyglądali na ludzi niezamożnych i stanowili dziwny kontrast ze wspólną jadalnią pałacu Denvertonów.

Lord wstał wreszcie od stołu. Był to znak, że biesiada jest skończona. Kilku gości niezręcznie kłaniało się gospodarzowi, który w odpowiedzi skinął im zaledwie głową. — Reszta ruszyła do szatni, rozrywając po drodze otrzymane koperty i licząc ich zawartość.

— Pięćdziesiąt funtów! Co za szczęście!
Na sali pozostał tylko pan domu i gość, który

otrzymał bilet na początku wieczoru.

Siedzieli na przeciwległych krańcach stołu i obserwowali się. Lord pierwszy przerwał milczenie:

— Mr. Dickson proszę mi wytłumaczyć w jaki sposób znalazł się pan między moimi gośćmi?

— Otrzymałem zaproszenie od człowieka, którego zaarrestowałem za szereg przestępstw. Oddał mi je, mówiąc: „Niech pan idzie, zamiast mnie, na przyjęcie do lorda Denvertona, a zobaczy pan wiele ciekawych rzeczy:

Gospodarz zaczerwił się.

— Ach więc to tak, Mr. Dickson...

— Pozwoli pan, lordzie, że zapytam, czy zna pan zaproszonych?

— Nie mam pojęcia kim są...

Ta dziwna odpowiedź wcale detektywa nie zdumiała.

— Tak właśnie przypuszczałem — odparł — Pozwoli pan, że ich przedstawię: Samuel Bird, czapnik z Battersca, trzykrotny bankrut. Lewis Stoneroad, siedmiokrotnie karany za fałszerstwa. Morris Lapland, były więzień z Dartmoor, Gustave Parant, zabójca, którego nie powieszono z powodu ulaskawienia. Ciemne indywiduum. I tak dalej... aż do dwudziestego.

Lord Denverton wiał się, jak na mękach.

— Nie wiem, czy złe, czy dobre duchy pana tu sprowadziły, Mr. Dickson... Niech pan pozwoli do stołu, porozmawiamy...

Detektyw wyraził zgodę krótkim skinieniem głowy. Kolację podano do małego saloniku, stylowo umeblowanego.

Menu było doborowe: kawior, sardynki, łosoś, drób, pasztet z gęsich wtróbek, a na deser doskonałe owoce.

Jedli w milczeniu. Od czasu do czasu padały tylko oddzielne słowa.

— Zakład? — zapytał wreszcie.

— Wolalbym go przegrać — brzmiała odpowiedź!

— Rozumiem pana.

Nastąpiła znów chwila ciszy. Lokaj wypełnił kieliszki szampanem.

— Taka była klauzula w testamencie mego stryja — wyjaśnił lord.

— ...do którym odziedziczył pan cały majątek?

— Tak jestem ostatnim z Denvertonów.

— Od jak dawna jest pan dziedzicem tych włości?

— Od trzech lat.

— A więc to już trzecia uczta tego rodzaju.

— Tak jest. I będzie to trwało...

— Czy może mi pan powiedzieć jak brzmi ta klauzula?

— Bardzo chętnie. Znam ją na pamięć:

„Co rok od dnia dzisiejszego, zaprosisz dwadzieścia osób, których nie znasz i których nie będziesz się starał poznać. Przyjmiesz ich godnie przy swoim stole a pod koniec uczty obdarzysz każdego z nich sumą pięćdziesięciu funtów“.

— To wszystko? — zapytał Dickson zdumiony.

— Oczywiście!

— A jakie represje przewidziane są na wypadek gdyby nie zastosował się pan do tego?

— Nie zostało to ściśle określone. Stryj napisał jedynie:

„Staraj się dokładnie wypełniać to zlecenie, inaczej grozi ci wielkie nieszczęście i utrata całego majątku“.

— Czy zaproszeni są zawsze ci sami?

— Nie. Każdym razem przybywają inni.

Harry Dickson słuchał w zamyśleniu. Tysiące pytań cisnęło mu się na usta.

Nieboszczyk Stanton Denverton nie był ani oryginałem, ani wariatem. W całej Anglii podziwiano jego ścisły, logiczny umysł i wielki rozsądek.

— Czy były jeszcze jakieś inne zastrzeżenia w testamencie?

— Nic szczególnego... Nie pozwolono mi tylko nic zmieniać w sali przyjęć.

— Tam, gdzie co roku przyjmuje pan zaproszonych, których, mówiąc między nami, podejmuje pan bardzo podłe.

— To jest moja zemsta — zaśmiał się lord.

Harry Dickson głośno snuł wątek swych myśli.

— Nikt się nie skarży, nikogo nie skrzywdzono... Zjawiłem się tutaj, nagłony przez ciekawość, nieodłączną w moim zawodzie. Moja rola już się właściwie skończyła, a wydaje mi się, że to początek.

Policzki Denvertona zabarwił lekki rumieniec.

— A gdybym zwrócił się do pana z prośbą, aby wyjaśnił mi tajemnicę, która kryje się w tych dziwactwach?...

Detektyw spojrzał uważnie na lorda.

— Czy mogę zadać panu kilka pytań?

— Proszę.

— Czy w chwili, gdy lord Denverton zmarł i zapisał panu swój tytuł oraz majątek był pan zupełnie biedny?

— Nie byłem bogaty, to prawda... Właściwie miałem moc długów... Stryj przysyłał mi od czasu do czasu drobne kwoty. Trzymał mnie jednak z daleka i nie komunikował się ze mną wcale. Mieszkał zupełnie samotnie w tym pałacu. Pożatym bardzo dużo podróżował.

— Czy służba pałacowa jest ta sama, co za życia pańskiego stryja?

— Nie. Zmieniłem ją. Dawni domownicy otrzymali na mocy testamentu legaty, zapewniające im spokojną starość.

Detektyw okazywał już znudzenie. Co go w tej sprawie interesuje? Ostatecznie wszystko jest jasne: kaprys bogatego starca, chorego prawdopodobnie na sklerozę mózgu! W tej samej chwili przypomniał sobie jednak twarz starego lotrzyka, od którego dostał zaproszenie. Przypomniał sobie również jego słowa:

— Niech mi pan wytłumaczy, Harry Dickson, dlaczego tacy bogacze, jak Denvertonowie zapraszają do siebie takich jak ja?!

Sprawa była istotnie interesująca. Nad dziwną ucztą unosił się cień tajemnicy... Ale teraz wszystko można było jakoś wytłumaczyć. Był to prawdopodobnie żart człowieka, którego umysł niezupełnie już dobrze funkcjonował. Dickson obciął koniec hawajskiego cygara, którym go gospodarz poczęstował i zaciągnął się wonnym dymem. Po chwili spojrzał przed siebie, szukając popielniczki, aby strzepnąć popiół i nagle opuścił szybko głowę. Nie potrafiłby określić tego co się stało. Zdawało mu się, że w głębi pokoju czai się coś groźnego.

Denverton, który słodził sobie w tym momencie kawę, nic nie zauważył.

Coś się stało, ale co?...

Detektyw cofnął rękę, w której trzymał cygaro i ułożył ją na oparciu fotela. Poczul jednak, że dotyka jakiegoś twardego i zimnego przedmiotu. Była to rękojeść małego sztyletu, wbitego w obicie, w odległości kilku zaledwie centymetrów od serca Harry Dicksona.

— Ktoś we mnie celował!... — szepnął do siebie. — Widocznie komuś przeszkadzam w tym domu.

Wyciągnął sztylet i schował go do kieszeni. Lord Denverton nic nie zauważył i ziewał rozpaczliwie.

Harry Dickson podniósł się.

— Lordzie Denverton — rzekł. — Chętnie zainteresuję się tą sprawą.

Lord wyraził radość, że skończą się wreszcie nudne, lecz konieczne przyjęcia.

— Proszę się jeszcze napić ze mną koniaku lub whisky, Mr. Dickson.

Detektyw odmówił. Usłużny lokaj odprowadził go aż do drzwi. Na ulicy Harry Dickson szukał jakiejś spóźnionej taksówki i podniósł w górę rękę, chcąc zatrzymać przejeżdżający wóz. W tej samej chwili ktoś pochwycił tę rękę.

— W którą stronę jedziesz, przyjacielu? — zapytał jakiś głos.

Detektyw odwrócił się szybko i ujrzał przed sobą człowieka w brudnym i nędznym ubraniu.

Jeden rzut oka wystarczył, aby poprzez charakterystycę poznać znajomego.

— Tam do licha! Przecież to Bunny..

Nieznajomy przerwał mu:

— Proszę cię nie wymawiaj nazwisk. Ulica, mury i nawet mgła ma uszy! Zjawię się u ciebie za godzinę!

Harry Dickson zatrzymał taksówkę i rzucił adres Bakerstreet. Zamyślony ze zmarszczonymi brwiami szepnął:

— Bunny Lipton! Ciekaw jestem, w jaką aferę zostanę teraz wmieszany.

Chińskie cienie

Bunny Lipton, szef tajnego wywiadu dla spraw Wschodu, był człowiekiem zręcznym i prze-

biegłym. Posiadał niejedną cechę wspólną z Harrym Dicksonem: niezwykłą odwagę, cierpliwość, wdech policyjny, wiarę w przypadek. Nie posiadał jednak jego geniuszu.

Kiedy przybył na górę do swego słynnego kolegi miał minę bardzo posępną.

— Myślałem że jesteś teraz gdzieś w Chinach — zawołał Harry Dickson, ściskając mu serdecznie dłoń.

— Wolałbym, aby tak było — odparł ze smutkiem Lipton. — Niestety kazali mi rozwiązywać chińskie zagadki na terytorium Anglii. Bardzo się cieszę, że spotkałem pana i będę miał go przy swym boku.

Detektyw uśmiechnął się.

— Opowiem panu w jaki sposób znalazłem się na jego drodze. Zwykła ciekawość zawiadła mnie dziś na przyjęcie do pałacu Denvertonów.

Usłyszawszy to nazwisko, Bunny przez chwilę milczał, poczym spojrzał na Dicksona roziskrzonym wzrokiem i odezwał się:

— To jest właśnie moja sprawa, Mr. Dickson! Uczta, którą wydaje się dla dwudziestu nieznanymi nieponiów, rok rocznie o tej samej porze. A propos, czy nie zauważył pan czegoś szczególnego?

— Tak jest. Jedno miejsce było puste!

— Dwudzieste pierwsze! Zgadza się! Lord Denverton z pewnością nie przywiązuje do tego wagi, ale to jest tylko dowodem jego głupoty! Na tym polega zagadka! Zaproszony nie zjawił się!

— Będę ci bardzo wdzięczny Bunny, jeżeli zechcesz wyjaśnić mi tę historię.

— Opowiem panu zatem historię bardzo starą, datuje się ona już od dwudziestu lat...

★

Popłoch w Pekinie! Groza na obszarze koncesji europejskiej! Przerwane połączenia! Tubylcza ludność ucieka i kryje się na neutralnym terenie.

Fuh - Suh zgromadził olbrzymią armię, złożoną z opryszków i poszukiwaczy przygód i schodzi z gór w doliny. Postanawia on wygnać z kraju wszystkich cudzoziemców... Po drodze rabuje spokojne wioski, podpala miasta, wyrzyna ludność i torturuje każdego schwytanego. Sprzyja mu szczęście. Po drodze nie spotyka oporu. W szeregach jego wybucha nagle straszliwa epidemia, która dziesiątkuje armię. W tym samym czasie biali otrzymują posiłki i po pewnym czasie armia Fuh-Suh została doszczętnie rozbita. Wódz zdołał zbiec. Krzątający początkowo pogłoski, że nie żyje, ale to nieprawda...

Fuh - Suh zaczyna działać w ukryciu. Ze zdobywcy staje się mordercą. Chińczycy czczą go, jak boga. Mijają lata. Zbrodnie chińskiego satrapy ustają. Ludzie szepczą sobie na ucho o jakimś nowym sprzysiężeniu. Jest to loża, do której należy dwudziestu członków, rekrutujących się z mętów społecznych. Statut tego stowarzyszenia znam na pamięć! Brzmi on następująco:

„Raz do roku zbiorą się wszyscy członkowie na kolację. Za uczestnictwo w niej zostaną odpowiednio wynagrodzeni. Nadejdzie dzień, kiedy zjawi się gość, który zwykle jest nieobecny i zasiądzie ze wszystkimi do stołu. To Fuh-Suh przybędzie „drogą bogów“

Uczta ta ma symbolizować oczekiwanie na przybycie wodza, który umarł faktycznie, czy też tylko pozornie. Nadejdzie dzień, kiedy Suh-Fuh powróci do swych towarzyszy.

Cała ta sprawa nie interesowała mnie wcale. Nagle zostałem wezwany do Londynu. Przybyłem tu przed ośmiu dniami. Wezwano mnie natychmiast do ministerstwa spraw zagranicznych, a ponieważ minister lord Dambridge był nieobecny, przyjął mnie jego sekretarz.

Zaczął od wymówek:

— Byłem zmuszony wezwać pana z Pekinu do Londynu. Od pewnego czasu przysyłają nam bowiem stale anonimowe listy tej treści: „Doroczna uczta u lorda Denvertona ma to samo znaczenie co doroczna uczta Fuh-Suh. Zwrócić się do Bunny Liptona, aby rozwiązał tę zagadkę!“

— Sprawa Fuh-Suh przypomina nam najgorsze chwile naszej historii kolonialnej to też traktuje ją jak najpoważniej.

Skończywszy swą opowieść Lipton zwrócił się do Harry Dicksona:

Mówiąc między nami, wydaje mi się, że ten bałwan sekretarz ma rację. Dziwny regulamin tych przyjęć wydaje mi się wysoce poleirzany.

— Ale nie ma dowodów, aby miały one jakiś kryminalny podkład — przerwał detektyw.

— Niestety nie jest tak, jak pan myśli, Mr. Dickson. W dzień mojego przyjazdu przysłano mi do hotelu paczkę, w której znalazłem ludzką głowę. Należała ona do starego Chińczyka, którego tożsamości nie zdołaliśmy ustalić. Moim zdaniem, był to autor listów anonimowych, którego ukarano za zdradę.

Wydaje mi się, że należy przejrzeć testament lorda Denvertona i dowiedzieć się dlaczego zrobił on takie dziwne zastrzeżenie.

— Sądzi pan, że się tym nie zająłem? Przez cały czas mego pobytu w Londynie biegam po kancelariach adwokackich, wertuję wszystkie papiery, ale, niestety, bez rezultatu.

— O ile sobie przypominam, lord Stanton Denverton był bardzo rozsądnym człowiekiem. Był wprawdzie mizantropem, ale w grucie rzeczy, był to człowiek dobry. Lubił dużo podróżować.

— Tak, ale tylko na terenie Europy. Wyjeżdżał często z Anglii, której klimat mu nie służył, na południe Francji, lub Włoch, czasem do uzdrowisk w Szwajcarii, Austrii, lub Niemiec.

To są prawie wszystkie informacje, które o nim zebrałem. Co do jego dziedzica, to jest on, moim zdaniem, zupełnie nieszkodliwym głuptasem.

— Zgadzam się z tobą, Bunny. A czy zwróciłeś uwagę na pałacową służbę?

— Nic ciekawego... Żaden z nich nie jest godny zainteresowania.

— A co powiesz do tego?

Harry Dickson pokazał Bunemu sztylet.

Lipton obejrzał go z przerażeniem.

— Klucz „Drogi bogów“! — zawołał.

— Jeżeli dobrze rozumiem, „Droga bogów“ prowadzi do śmierci...

— Nie potrafię ci tego wyjaśnić dokładnie. Jest to według chińskich wierzeń, droga po której broczą skazani na śmierć.

— Temu więc sztyletowi zawdzięcza swą nazwę.

— Czy przyjrzałeś mu się dokładnie?

— Jeszcze nie.

— Trzymasz teraz w ręce przedmiot niezwyklej wartości — rzekł Bunny. — Ostrze jest z platyny a rękojeść wysadzana drogocennymi kamieniami. Nazywają go także „grą śmierci“ i rzeczywiście jest to wielce niebezpieczna broń. Amatorzy byliby gotowi zapłacić zań bardzo wygórowaną cenę... Przypuszczam, że ten, który tak niezręcznie celował, będzie napewno czynił wysiłki, aby go odzyskać.

Nastąpiła chwila ciszy. Harry Dickson postawił przed przyjacielem kieliszek whisky.

— Do licha! gdybym wiedział, dokąd nas to wszystko prowadzi? Mr. Dickson, czy błędził już pan kiedy po tak ciemnej drodze?

Detektyw uśmiechnął się. — Ież razy zdarzało mu się to w jego praktyce...

Lipton z rozpaczy wychylał jeden kieliszek za drugim, Harry Dickson zaś zapalił ulubioną fajkę. Z kuchni dobiegał odgłos krztałania się Mrs. Crown i brzęk mytych naczyń.

Funny Lipton pochwycił spojrzenie detektywa utkwione w tarczy zegara.

— Czy czeka pan na kogoś, Mr. Dickson?

— Tak i nie... Właściwie powinien ktoś nadejść.

— Czy Tom Wills, pański uczeń? Chętnie uściskałbym jego dłoń.

Harry Dickson nacisnął guzik dzwonka.

— Dokąd poszedł Tom? — zapytał gospodyni, która przybiegła wycierając ręce w fartuch.

— Przecież... on w ogóle nie wychodzi! Parę minut przed pana przybyciem widziałam go w gabinecie.

— W takim razie, widocznie nie zauważyła pani jak wyszedł.

— Chyba byłabym głucha! — mruknęła pod nosem Mrs. Crown, zamykając za sobą z trzaskiem drzwi.

Detektyw wstał z krzesła i skierował się w stronę gabinetu. Zanim wszedł do środka położył rękę na klamce i na chwilę zatrzymał się. Zawahał się... Owładnęło nim dziwne, niewytłumaczone uczucie. Miał wrażenie, że za tymi spokojnymi, dobrze znanymi mu drzwiami czai się coś groźnego...

— Lipton, — szepnął nagle Dickson — nie umiem sobie wytłumaczyć, dlaczego czuję lęk przed tym pokojem, gdzie przed chwilą znajdował się Tom. Miejmy się na baczności!

Nagle Harry Dickson, zdecydowanym ruchem otworzył szeroko drzwi i przekreślił wyłącznik elektryczny. Fala światła zalała pokój.

Dickson i Lipton natychmiast cofnęli się w tył, przerażeni straszliwym widokiem.

Na krześle siedział jakiś człowiek o niesłychanie odrażającej powierzchowności. Pod wpływem światła nerwowo mrugał, a dolna warga opadała, tworząc ohydny grymas i nadając twarzy wyraz bestialskiego okrucieństwa.

Na widok zbliżających się ludzi wydał groźny pomruk.

— Uwaga! — krzyknął Bunny — niech pan go nie dotyka, w tym stanie posiada on siłę dziesięciu ludzi!... Potrafi zamordować jedynym uderzeniem ręki!... Nie poznaje nas... Znam te diabelskie gusta!

— Nie poznaje nas — wyjąkał detektyw, zaczynając pojmovać straszliwą prawdę.

W tej samej chwili poznał ubranie, poszarpane jakgdyby ostrymi pazurami.

— Tom Wills! — krzyknął.

Człowiek ryknął dziko.

— Co mu się stało? — zapytał detektyw.

— To są chińskie metody! Zastosowano Yun-Yun, rodzaj jadu, który w przeciągu godziny przekształca normalnego człowieka w taki oto dziwny twór.

— A czy jest na to odtrutka?

— Nie ma. Ale po pewnym czasie jad sam przestaje działać. Musimy poczekać!

Tom Wills siedział nieruchomo, jedynie dziki pomruk wydobywał się od czasu do czasu z jego piersi a gęsta ślina ciekła mu z warg.

Bunny Lipton doszedł do wniosku, że na razie nie potrafi w niczym pomóc przyjacielowi.

W pewnym momencie detektyw ustawił się za krzesłem Toma, pchnął je z całej siły ku schodom.

Tom z dziłkim okrzykiem — zbiegł ze stopni i po chwili znalazł się na ulicy.

— Biegiem, za nim! — rozkazał Dickson. — Jestem przekonany, że przestępcy, którzy doprowadzili go do tego stanu, znajdują się teraz na jego tropie.

Noc była ciemna a mgła gęsta i nieprzenikniona...

Po chwili wahania, Tom Wills pobiegł przed siebie. Obaj detektywi ledwie mogli za nimi nadążyć.

Śladami Toma Willsa

Tom Wills chwiejnym krokiem doszedł do Cosswell road, skrzyżował na prawo w City road i dotarł do Old street.

— Daję słowo honoru, że mały kieruje się w stronę pałacu, który pan niedawno opuścił, — zawołał Bunny z trudem chwytając powietrze.

— Do pałacu Denvertonów?..

Harry Dickson przyspieszył kroku aby nie stracić z oczu sylwetki Toma ginącej w mroku. Nie chciał narazie wyciągać żadnych wniosków ze spostrzeżenia kolegi.

— Uwaga! — zawołał nagle detektyw — Tom przybiegł na miejsce! Gdzież on się nagle podział? Przepadł jakby go ziemia pochłonięła!

— Aha! Tutaj znajduje się małe okienko piwniczne!

— Czy może mi pan wytłumaczyć w jaki sposób Tom znalazł się tutaj i przedostał przez okienko, które prowadzi do piwnic pałacu Denvertonów?

Bunny przytaknął ruchem głowy.

— Wcale mnie to nie dziwi. W tym stanie działa on, jak w hypnozie, pod nakazem cudzej woli... Widocznie chcą się pozbyć naszego przyjaciela. Ale my im w tym przeszkodzimy.

Harry Dickson wślizgując się do piwnicy nie rzekł ani słowa. Bunny Lipton podążał za nim.

Dostawszy się do środka, usłyszeli odgłos dalekich kroków. Zrozumieli, że znajdują się na dobrej drodze.

Posuwali się naprzód w zupełnych ciemnościach, zachowując ostrożność i bacząc na to, aby nie zwrócić na siebie uwagi. Dotarli wreszcie do jakichś drzwi.

— Tom dostał się na parter — szepnął Dickson.

W kilka chwil później znaleźli się na schodach prowadzących do długiego źle oświetlonego korytarza, na końcu którego detektyw ujrzał znaną mu salę. Tutaj właśnie odbyło się dziwaczne przyjęcie.

Słychać było wyraźnie odgłos kroków Toma.

— Aby tylko nikt nie usłyszał — martwił się, Lipton — wezmą go za zwykłego włamywacza!

— Przypuszczam, że ścignęli go tutaj w innym celu — szepnął detektyw, przyspieszając kroku.

Drzwi sali jadalnej były szeroko otwarte. Oświetlona była ona tylko bocznymi kinkietami.

Przed jednym z nich zatrzymał się Tom Wills. Nagle obaj detektywi drgnęli. Usłyszeli jakiś dziwny głos wydobywający się nie wiadomo skąd, nacy cący monotonnie w niezrozumiałym języku.

— Chińczyk! — szepnął Bunny.

— Czy rozumie pan co on mówi? — zapytał Dickson.

— Tak... Proszę mi pozwolić słuchać!

Lipton pociągnął detektywa na bok i począł tłumaczyć mu słowa, które padały z ust niewidzialnego człowieka!

— Sprowadziłem cię tutaj na „Drogę bogów“, aby cię złożyć w ofierze naszej sprawie, aby dać odstraszający przykład twemu mistrzowi, aby wreszcie przestał się zajmować naszymi tajemnicami.

Tom Wills nie poruszał się. Jego wysoka sylwetka wyraźnie odcinała się w świetle kinkietów.

Głos umilkł ale po chwili odezwał się znowu:

— Nic nie odpowiadasz! Widocznie czas jeszcze nie nadszedł.

— Ale ja odpowiem — zagrział nagle głos Harry Dicksona.

Bunny był przerażony.

— Nieszczęsny co czynisz? — jęczał.

Ale detektyw ciągnął niewzruszenie:

— Jeżeli natychmiast nie powrócisz temu biedakowi pełni władz umysłowych, rozwalę tę całą salę granatem, który mam w kieszeni!

Minęło kilka sekund. Nagle tajemniczy głos ozwał się ponownie, ale już tym razem w najczyściej angielszczyźnie:

— Zgadząm się, Harry Dickson! Proszę zaczekać w białym salonie, tam gdzie niedawno spożywał pan kolację. — W ciągu dziesięciu minut pański uczeń odzyska przytomność.

W tym momencie wtrącił się Bunny Lipton:

— Proszę przysiąc na „Drogę bogów“...

— Przysięgam. Ale wzamian za to proszę o zwrot sztyletu.

— Dobrze — odparł szybko detektyw.

— Oddalając się stąd, proszę go położyć na stoliku obok kominka. Jednocześnie proszę mi dać słowo honoru, że nie wrócić do tej sali przed upływem dziesięciu minut.

— Zgoda — odpowiedział Bunny.

Cofnęli się obaj na wyznaczone miejsce.

— Ciekaw jestem co Denverton ma z tym wspólnego — rzekł wreszcie Lipton.

— Jutro odpowiem panu na to pytanie. Na razie uważam go za skończonego idiota.

Obaj spojrzeli na zegarek i liczyli minuty, które straszliwie dłużyły się. Z wielkiej sali nie dochodził najdłżejszy nawet szelest.

Dziewięć minut! — zawołał Bunny, — została jeszcze jedna. Obawiam się...

Harry Dickson rzucił mu niezadowolone spojrzenie i przyglądał się z uwagą tarczy zegarka. Wreszcie wstał i podeszedł do drzwi.

— Minęło dziesięć minut! — zawołał głośno i otworzył szeroko drzwi. Sala tonęła w powodzi światła, a na fotelu spał spokojnie Tom Wills.

Harry Dickson rzucił się w jego kierunku.

— Tom!

Młody człowiek zerwał się, ziewnął rozpaczliwie i uśmiechnął się do mistrza. Po chwili zdumiał się na widok sali, w której się znalazł i rozpaczliwego stanu swej garderoby.

— Co się stało z moim najlepszym ubraniem? — jęknął.

— Opowiemy ci o wszystkim później — odparł — detektyw, obejmując go z radością.

— Uważam że dobrzeby było, gdybyśmy sobie dokładnie obejrżeli ten uśpiony dom — zaproponował Bunny.

— Ze względu na przygodę Toma uważam dzisiejszy wieczór za okres zawieszenia broni i dlatego postanawiam odłożyć dalszy ciąg poszukiwań do jutra.

— Zgoda! — odparł Lipton.

Nie usłyszano więcej tajemniczego głosu



Kiedy wszyscy trzej znaleźli się na Bakerstreet, godzina była już bardzo późna. Dickson poprosił Toma, aby opowiedział o swej przygodzie.

Pytania wprawiły go jednak w zdumienie.

— To ja raczej powinienem was o to zapytać. Zasnąłem w bibliotece i nagle obudziłem się w obcym, nieznanym mi domu, w postrzępionym ubraniu.

— Proszę cię, Tom, przypomnij sobie, co się zdarzyło przed twoim zaśnięciem — nalegał Bunny.

Tom Willis zmarszczył brwi i namyślał się z wysiłkiem.

Byłem w gabinecie... szukałem książki... nie pamiętam już jakiej... Aha, przypominam sobie... Była to jakaś powieść Jacka Londona... Z kuchni dobiegał mnie brzęk mytych naczyń...

— I co dalej?...

— Nie przypominam sobie nic więcej... Zdaje się że coś spadło mi na twarz... Kurz unosił się w powietrzu, kiedy wyostałem gruby tom z górnej półki.

— Hm... kurz z półki bibliotecznej. Wobec tego, chodźmy tam zajrzeć!

Dickson skierował się w stronę gabinetu. Znalazszy się przed drzwiami, szybko otworzył je i podniósłszy rewolwer wystrzelił w kierunku górnych półek szafy.

W tej samej chwili spadło na podłogę jakieś ciało.

— Światła! — krzyknął detektyw.

Bunny Lipton i Tom Wills stali na miejscu, nie mogąc się ruszyć z wrażenia...

Na podłodze widać było w agonii Chińczyk. Bunny Lipton zbliżył się doń ze zgrozą.

— To jest Chińczyk ze szczepu Hong... Pozwólmy mu umrzeć... Znam to plemię... Jeżeli otacza się ich opieką odwdzięczają się za to niecznym podstępem.

— Zdaje się, że przybył on tutaj, aby usunąć nas trzech. Podobnie jak w sali pałacu Denvertonów... A teraz proszę cię Bunny odpowiedz mi na pytanie, które dręczy mnie od owego wieczoru, kiedyśmy się spotkali na ulicy, w jakie straszliwe sidła wpadliśmy wszyscy?

Chińczyk

Następnego dnia Harry Dickson otrzymał od lorda Denvertona krótki i treściwy list:

„Mr. Dickson!

Wczoraj pod wpływem kaprysu a może i mudy, prosiłem pana, aby się zajął wyjaśnieniem dziwnego zastrzeżenia w testamencie mego stryja. Obecnie zmieniłem zdanie. Uważam, że nie mam prawa zmieniać ostatniej woli zmarłego. Proszę zatem pana, aby więcej tą sprawą nie zajmował się. W godzinę po pana odejściu, opuściłem pałac i przeniósłem się wraz z całą służbą do zamku w Yorkshire. Powrócę do Londynu dopiero za rok na czas ponownego przyjęcia. Załączam czek na sumę dwustu funtów które proszę przyjmując jako honorarium.

Denverton'.

— To oznacza, że pałac jest teraz zupełnie pusty, — rzekł detektyw, zapoznawszy się z treścią listu.

— A co my będziemy robić? — zapytał Tom Wills.

— Na razie zaczekamy. Dowiemy się, jakie instrukcje otrzymał Bunny z Foreign Office.

Szef tajnego wywiadu dla spraw Wschodu nie dał na siebie długo czekać. Kiedy dowiedział się o treści nadesłanego listu, twarz jego przybrała poważny wyraz.

— Pan, Mr. Dickson, może w każdej chwili wycofać się z tej całej afery jako człowiek od nikogo niezależny... Ja niestety, muszę słuchać rozkazów. Ogarnia mnie czarna melancholia, na myśl, że sam będę musiał rozwiązywać te chińskie zagadki.

— A gdybym pomógł panu? — zapytał Dickson.

Bunny Lipton aż krzyknął z radości.

— Będę niezmiernie szczęśliwy!

— Na razie uważam za stosowne rozstać się na jakiś czas... Musimy natrafić na ślad.

Ponieważ nasze dotychczasowe poszukiwania są bezskuteczne, musimy podzielić się pracą przy czym ja pojedę na kontynent, a pan zostanie w Londynie. Bagaż swój odeślę do Ostendy, a stamtąd poprzez Belgię udam się wraz z Tomem do Luksemburga.. Zamieszkamy w hotelu Continental.

★

Stolicę Wielkiego Księstwa złociły już blaski zachodzącego słońca, kiedy Dickson i Tom przybyli na miejsce.

— W jakim celu przyjechaliśmy tutaj? — zapytał Tom.

— Zdaje mi się, że znalazłem wreszcie jakiś jasny punkt w tej ciemnej sprawie — odparł detektyw. — Jak już opowiadałem Bunny Liptonowi, lord Denverton lubił częste podróże. Dowiedziałem się przy tym, że zmarł on nie w Londynie, a w Luksemburgu, zwłoki zaś przewiezione zostały do Anglii.

Harry Dickson umilkł, po chwili jednak Tom usłyszał, jak szeptał do siebie:

— Schneider... Ilu ludzi o tym nazwisku może mieszkać w tym mieście!...

— Któż to jest ten Schneider? — zdziwił się Wills.

— Były sekretarz lorda Denvertona, towarzyszący mu stale w jego podróżach. Do jego czynności należał wybór odpowiednich uzdrowisk. Otrzymał on wielki legat, zapewniający mu spokojną starość.

Rozmawiając ze sobą, doszli do wielkiego ogrodu, zarosniętego gąszczem kwitnących krzewów, z których ukazały się kontury małego domku.

Stary ogrodnik, który akurat zajęty był swą codzienną pracą, z trudem uniósł się z kolan na widok nadchodzących.

— Pan Schneider? — zapytał detektyw.

— Czego sobie panowie od niego życzą? — zapytał starszek.

— Chcielibyśmy zobaczyć się z nim i porozmawiać, jeżeli można — odparł Harry Dickson.

— Hm, — zobaczyć go można, gdyż jest dziś w trochę lepszym humorze, ale co do rozmowy, to inna sprawa... — rozgadywał się ogrodnik. Proszę za mną...

Wprowadził ich do wnętrza domku. Po przebyciu długiego korytarza, skąd wiało zgnitym, piwnicznym powietrzem, dostali się do jasnego pokoju, w którym urządzona była ptaszarnia.

— Hallo, Baltazarze, co słychać dziś u naszych kanarków? — zapytał ogrodnik, sadowiąc się obok fotelu, na którym spoczywała ogromna postać ludzka.

Odpowiedział mu niezadowolony pomruk... Drżąca ręka wysunęła się z pod pledu i ujęła szklanekę wina, stojącą obok na małym stoliku. Twarz tego człowieka zdradzała krańcowe otępienie.

— Pan Schneider! — zaprezentował nie bez ironii ogrodnik.

Harry Dickson zacisnął pięści. W tej chwili bowiem przypomniały mu się niedawne przeżycia.

— Ten człowiek zapewne nie zawsze znajdował się w takim stanie?

— O nie, — żywo potwierdził starszek — dawniej był to zupełnie rozsądny człowiek.

— A kiedy to się stało?

— Hm... dobrze już nie pamiętam, ale trwa to już dobrych kilka lat, mniej więcej od czasu, kiedy mój pan przestał podróżować. Teraz są dni, kiedy jest prawie niebezpieczny dla otoczenia, są też i takie, jak dziś, kiedy jest zupełnie spokojny.

Harry Dickson pożegnał ogrodnika, obdarzwszy go hojnym napiwkami.

— Stracony czas? — zapytał Tom Wills, spoglądając na mistrza.

— Nie, mój mały, zrobiłem bardzo ciekawe spostrzeżenie. Zdziwi cię to zapewne, kiedy ci oznajmię, że jeszcze niedawno byłeś podobny do tego biedaka, którego oglądaliśmy przed chwilą.

— Niemożliwe! — krzyknął Tom ze zgrozą.

— Ujrzałeś działanie pewnego jadu chińskiego. Niestety, nie znam odtrutki, gdyż inaczej postarałbym się uratować tę ludzką ruinę.

— Dlaczego w takim razie truciele nie usuwają poprostu z drogi swoich przeciwników?

Harry Dickson nie odpowiedział, gdyż nagle zatrzymał się i utkwiał w przestrzeni wzrok.

— Co pan tam ujrzał? — zaniepokoił się młodzieniec.

— Tam? Nic! Zastanowiłem się tylko nad czymś — odparł. — Do licha! Dlaczego poprostu nie zabijają go? Tornie, czyżbyś znalazł rozwiązanie tej tajemnicy?

— Ależ ja tylko zadałem pytanie... — spieszył się Tom.

— Kiedy jest już jakiś problem, łatwiej go rozwiązać. Jestem pewny, że w chwili, gdy znajdzie odpowiedź na to pytanie, tajemnica pałacu

Denvertonów automatycznie przestanie istnieć. A teraz chodźmy na obiad.

Na terenie całego Wielkiego Księstwa Luksenburg dawano świetnie jeść. Harry Dickson nie mógł zapomnieć wspaniałej kuchni restauracji „La rochette”, a zwłaszcza jej specjalności, smażonych pstrągów.

W tej chwili przejechał obok nich autokar, wiozący grupę rozbawionych turystów.

— Są jeszcze dwa miejsca, panowie! — zawołał szofer. — Jedziemy do Eckternach!

— To świetnie! — odpowiedział Dickson. — Chcemy się dostać do „Larochette”.

— W takim razie zatrzymamy się przed Binzelschleift a stamtąd panowie dojdą sobie pieszo.

— To nam dobrze zrobi na apetyt — zażartował detektyw, wsiadając razem z Tomem do autobusu.

Przed oczami jadących rozwijał się, jak film, wspaniały krajobraz.

— Jesteśmy w Bluzel-Schleift, — zawołał kierowca, zatrzymując wóz. — Jeżeli obierzecie sobie panowie tę drogę na prawo, to za dwadzieścia minut znajdziecie się w „Larochette”.

Autokar zniknął w tumanie kurzu i obaj detektywi zostali sami.

Wznosiły się przed nimi wysokie góry, pokryte gestymi lasami. Na szczyt prowadziły schody wybite w skale.

— Proszę o dodatkowy kwadrans — rzekł Tom Wills. — chciałbym sobie obejrzeć te skały z bliska.

— Zgoda, mój chłopcze, — odparł detektyw, idąc krok w krok za nim.

Wspinali się po granitowych stopniach coraz wyżej i wyżej, omijając ostre wierzchołki i zdradzieckie przepaści. Dostawszy się na szczyt, rozjeździł się dokładnie po okolicy. Zapadł zmierzch.

— Jakies auto zatrzymało się na dole! — zawołał nagle Tom. — Jacyś turyści przybyli tu jeszcze później od nas.

Słychać było wyraźnie odgłos zbliżających się kroków. Harry Dickson chciał ujrzeć wycieczkowiczów, ale oczekiwanie jego zaczęło się przedłużać. Kroki ucichły i na Binzel-schleift zapanaowała cisza. Toma opanował jednak dziwny niepokój. Przysunął się do mistrza i poprosił go, aby rozejrzał się w otaczających ich ciemnościach.

— Uwaga, Tom! — szepnął w pewnej chwili Harry Dickson, — ktoś drapał się po skale, omijając schody, którymi dostaliśmy się na górę i skrył się teraz za nami wśród drzew!

Ponad ich głowami rozległ się nagle głos, który detektyw natychmiast poznał. Był to ten sam, który przemawiał doń w pałacu Denvertonów!

— Rzućcie rewolwery, panowie! Nie przydadzą się wam z pewnością, gdyż nie możecie mnie widzieć! Wy natomiast stanowicie dla mnie doskonały cel. Jakby dla poparcia tych słów, huknęły dwa strzały i dwie kule utkwiliły w skale tuż obok głów obydwu detektywów.

— Widzicie, panowie, że łatwo mógłbym pozabawić was życia, gdybym celował bardziej na prawo! Ale nie zrobię wam nic złego, jeżeli będziecie posłuszni. Proszę zejść i zająć miejsca w samochodzie, który czeka na dole!

— Musimy pójść, — zaklął detektyw, — inaczey kula w łeb.

Zeszli na dół i w chwili gdy usiedli na wygodnych poduszkach, drzwi auta zatrzasnęły się.

— Hola, Tom, czy masz wosk? Dawaj przedko, musimy zabezpieczyć się przed gazem, którym nas będą chcieli uspić.

Obaj przyjaciele zabrali się do pracy. Zatkali dziurki od nosa roztopionym woskiem, a w ustach umieścili małe aparaty. Był to najnowszy wynalazek angielski, zabezpieczający przed działaniem trujących gazów i pozwalający jednocześnie na swobodne oddychanie.

Po chwili obaj detektywi, udając śpiących, ułożyli się na poduszkach auta. Z ciemności zaś wynurzyła się jakaś sylwetka, siadła przy kierownicy i wóz ruszył szybko naprzód.

W świetle reflektorów Harry Dickson ujrzał skamieniałą, okrutną twarz Chińczyka. Postanowił działać!

Kiedy w pewnym miejscu droga miała ostry zakręt i kierowca musiał zwolnić tempo, detektyw chwycił rewolwer!... Auto minęło wiraż i wtedy Dickson szybkim ruchem przyłożył broń do skroni szofera i wystrzelił...

Chińczyk padł głową na szybę, roztrzaskując ją w tysiące kawałków a detektyw chwycił za kierownicę. Zgrzytnęły hamulce i wóz zatrzymał się w miejscu.

Dickson uważnie przetrząsnął kieszenie zabitego Chińczyka. Nie znalazł jednak nic ciekawego.

— Uwaga! — krzyknął nagle.

W dali ukazała się jakaś maszyna, rozdzielająca mroki jaskrawym światłem reflektorów.

— Włóż przedko czapkę szofera, Tomie, — rozkazał detektyw — i zakryj daszkiem twarz. Ja sam zajmę się tym pasażerem!

Mówiąc to, ułożył Chińczyka w wozie a sam zajął miejsce obok niego.

Tom Wills puścił w ruch maszynę i po chwili mijał już tajemnicze auto, z którego padł rozkaz w języku niemieckim:

— Zmieniono rozkazy. Masz przebyć granicę w Yrrel, ponieważ dziś jest kontrola i wracaj natychmiast do domu.

Po kilku sekundach tajemniczy wóz zawrócił i zginął w mrokach nocy.

— Mistrzu, mistrzu! — krzyknął Tom — poznałeś go?

— Spałem, mój drogi, przypomnij sobie...

— Ja, na szczęście, nie... Człowiek, który prowadził drugi wóz, to stary ogrodnik z Luksemburga. Ale do wszystkich diabłów, wydawał się dziwnie zmieniony.

— Zastosujmy się do rozkazu i wracajmy do domu Schneidera... Zobaczymy co tam słychać.

— A Chińczyk?

— Musimy się go pozbyć. Złożmy go po drodze w krzakach.

Harry Dickson zajął z kolei miejsce przy sterze i skierował auto w stronę Luksemburga. Po drodze minęli „Larochette”, uspięne i ciemne.

Tom Wills pożegnał się z rozpaczą ze wspaniałymi ostygam i pstragami. Ale za to wóz ich połykał żarłocznie kilometry...

Noc przygód

W odległości kilometra od stolicy Wielkiego Księstwa Harry Dickson umieścił wóz na bocznej drodze a sam wraz z Tomem ruszył pieszo w kierunku miasta.

Znaleźli się wkrótce przed domem Schneidera.

Za dnia opromieniony blaskiem słońca, dom ten miał miły wygląd, teraz natomiast w mrokach nocy wydawał się groźny i wrogi. Wszystkie okna były ciemne, a na parterze zasłonięte ciężkimi okiennicami. Było cicho, ale Harry Dickson obawiał się, że ten pozorny spokój mógł być podstępem i zasadzką! Za domem znajdowały się baraki dla służby i garaż. Przez otwarte drzwi detektyw stwierdził, że jest on pusty.

— Auto prowadzone przez tajemniczego ogrodnika jeszcze nie wróciło — odezwał się Tom, ale w tej samej chwili ręka detektywa przymknęła mu usta. Po pochyłości ulicy zjeżdżał jakiś wóz. Tom poznał go natychmiast.

Jednym skokiem obaj detektywi ukryli się w zaroślach. Zaledwie znaleźli się w tym schronieniu, auto szybko wjechało w główną aleję i zatrzymało się przed garażem.

Obaj przyjaciele usłyszeli ze swego miejsca niezadowolony monolog szofera-ogrodnika:

— Co to znaczy, że tego idioty jeszcze nie ma?...

Ogrodnik opuścił garaż, który zostawił na wpół otwarty i skierował się w stronę uspiętego domu. Detektywi zauważyli, że nie był to zgarbiony starzec, którego widzieli za dnia, ale wysoki i silnie zbudowany mężczyzna o nieco postarzałej twarzy.

Wszedł on do domu i zaczął wspinać się po schodach. Harry Dickson zrozumiał, że nadszedł teraz rozstrzygający moment.

— Tomie, będziemy musieli się teraz rozdzielić. Szofer na pewno otrzyma polecenie odszukania zaginionego wozu. Musi się pospieszyć i wrócić do miejsca, gdzie ukryliśmy maszynę. Ustaw ją z boku drogi, tak, aby wyglądała jak uszkodzona. Szofer wysiadzie z pewnością aby sprawdzić, co się zepsuło. Wtedy zaopiekuj się nim. Pamiętaj tylko, że masz go wziąć żywcem. Gdyby zaszła potrzeba, możesz mu zaaplikować jakiś usypiający zastrzyk. Pojedziesz później jaknajśpieszniej do granicy belgijskiej, a stamtąd już tylko kilka minut będzie cię dzieliło od Arlon. Odnajdź ulicę Gór w tym mieście i skieruj się do domu, lub biura ekspedytora Mr. Anatola Lamy. Powiesz mu, że przybywasz z mojego polecenia. Jest on we wszystkim wtajemniczony i możesz mu ufać. Nie wiem co mnie spotka w tym domu, to też, gdybym nie przybył przed brzaskiem, zwróć się do Mr. Lamy, aby przedsięwziął odpowiednie kroki. Uciekaj teraz i uważaj na siebie!

Harry Dickson został sam.

Ku wielkiemu zadowoleniu detektywa, ogrodnik wcale nie wychodził. Dicksonowi zależało bowiem na czasie, aby Tom mógł zdążyć do miejsca ukrycia maszyny. Drzwi się wreszcie otworzyły i ukazała się w nich wysoka sylwetka.

Detektyw usłyszał gniewne przekleństwa szofera, który skierował auto w powrotną drogę.

W kilka sekund później, detektyw wchodził do uspiętego domu.

★

Zaledwie Tom zdążył przesunąć wóz na bok szosy i zgasić reflektory usłyszał za sobą szum motoru. Jedynym skokiem znalazł się w rowie przydrożnym, nie zważając na parzące pokrzywy. Wóz zatrzymał się w odległości zaledwie kilku kroków od kryjówki Toma.

Szofer wysiadł i zbliżył się do opuszczonego „Chevroleta”.

— Hallo Su-Su!! — wyszeptał półgłosem.

W tej chwili Tom wyskoczył z rowu i dopadłszy przeciwnika, zadał mu straszliwy cios w szczękę, zwalając go momentalnie z nóg.

— A teraz zastrzyk! — zawołał do siebie, potrząsając strzykawką i jazda do Belgii. — Mam teraz kłopot z wyborem wozu, — pomyślał, przyglądając się obu maszynom. — Wybiore „Chevrolet”, gdyż przyniósł mi szczęście!

Umieścił pasażera na poduszkach i skierował się ku granicy. Po jakimś czasie na horyzoncie ukazały się jakieś światła: to dworzec miasta Arlon. Tom wjechał na główną ulicę. Na lewo w nikłym blasku gazowej latarni ujrzał tabliczkę z napisem „Ulica Gór”. Jeszcze kilka metrów i auto zatrzymało się przed domem, na którym widniał szyld: „Anatol Lamy, ekspedytor”.

W oknach paliło się jeszcze światło. Toma ucieszyło, że gospodarz jeszcze nie śpi. Na odgłos dzwonnika drzwi natychmiast się otworzyły i ukazał się w nich jakiś mężczyzna w szlafroku

— Pan Anatol Lamy? — zapytał Tom.

— Tak jest. Z kim mam przyjemność?

— Przybywam z polecenia Harry Dicksona — odparł cicho młodzieniec.

Mr. Lamy, nie okazując najmniejszego zdziwienia, odpowiedział głośno:

— Bardzo mi miło powitać pana, Mr. Sellicr! Zaraz otworzę garaż, aby mógł pan tam umieścić swój wóz. Za chwilę proszę się zjawić w domu na kolację. Nic nie szkodzi, że mnie pan obudził, gdyż i tak źle śpiam w nocy!

Ta dziwna perora została wygłoszona dla zmylenia czujności jakiegoś sąsiada, który mógłby również nie spać tej nocy. Wkrótce drzwi garażu zostały szeroko otwarte i Tom wprowadził tam swoją maszynę. Ruchem ręki wskazał na śpiącego.

— Mr. Dickson kazał go ująć. Zapowiedział, że zjawi się tu przed świtem. Gdyby jednak tak się złożyło, że nie przybędzie, mam razem z panem wrócić do Luksemburga.

Ekspedytor zdradzał wielkie zainteresowanie całą sprawą.

— A co zrobimy z naszym więźniem? — zapytał Tom.

— Umieścimy go w takim miejscu gdzie będzie mógł sobie krzyczeć ile zechce, na wypadek gdyby się obudził.

Mówiąc to, pomógł Tomowi wydostać uspiętego z auta. Nagle drgnął i krzyknął głośno:

— Ależ to jest Arno!

Pan go zna?...

— To chyba jakaś pomyłka!... Dlaczego właśnie Arno został zakładnikiem?... Przecież on jest jednym z naszych!

Nim Tom mógł zrozumieć o co chodzi, rozległo się gwałtowne kołatanie do drzwi.

— Hm... — mruknął Lamy, zostawiając się żar na ziemi, — trzeba zobaczyć, co tam się stało.

Za drzwiami znajdowała się grupa ludzi w których Tom bez trudu rozpoznał synów Azji. Młody detektyw cofnął się w tył, sądząc, że znalazł się w pułapce.

Tymczasem ku swemu wielkiemu zdziwieniu ujrzał między żółtymi twarzami dobrze mu znana twarz i uśmiech Harry Dicksona.

★

— Panowie Matsuko, Saito i Timoto, — agenci japońskiego wywiadu — przedstawił przybyłych Harry Dickson.

Tom spojrział na mistrza z osłupieniem.

— Proszę panów o udzielenie mojemu uczniowi kilku wyjaśnień.

— Proszę do salonu — wtrącił się Mr. Lamy, — tam będzie można swobodnie porozmawiać.

Usadowieni w miękkich fotelach przy kawie i papierosach, zaczęli udzielać wyjaśnień.

— Jesteśmy detektywami Jego Cesarskiej Mości Mikada i wysłano nas do Europy celem rozwiązania tajemnicy „Drogi bogów“.

— A więc wiadomo już, co oznacza ta droga?

Trzej Japończycy potrząsnęli przecząco głowami.

— Nic pewnego nie wiemy. W każdym razie, to jest tylko pewne, że tą drogą króczą najstraszliwsze zbrodnie i przestępstwa, zalewające krwią całe Chiny.

— A jaki to ma związek ze spokojnym domkiem w okolicy Luksenburga? — zapytał Tom.

— W tym domu — odpowiedział Matsuko — można usłyszeć tajemniczy głos...

— Co takiego?...

— Tak! Głos ten słyszy się, ale nigdy nie można ujrzeć mówiącego — dodał doktor Saito.

Do rozmowy wtrącił się Harry Dickson.

— Ja również go słyszałem i to dwa razy. Po raz pierwszy w Londynie po raz drugi tutaj w Binzelschleif. Jak na takie stworzenie, które tylko posiada głos, zbyt dobrze celuje z rewolweru.

— Czy miałby to być Fuh-Suh? — zapytał Tom.

Wszyscy obecni zaprzeczyli.

— Fu - Suh jest człowiekiem silnym, panem i zdobywcą, natomiast „tajemniczy głos“ jest przyjaznym mu i pomagającym demonem. Legenda głosi, że jest on jego sługa, zrezygnym, przebiegłym, straszliwym i oddanym.

— Ale Fuh-Suh zniknął? — powtórzył pytanie Tom.

— Wróci on „Drogą bogów“... Tak głosi legenda — dodał Timoto.

— Dr. Matsuko zwrócił się do swych angielskich kolegów:

— Nie mają panowie pojęcia, jak nas cieszy wasze zainteresowanie tą sprawą. Może teraz wreszcie posunie się ona naprzód. Pan pierwszy, Mr. Dickson, zwrócił nam uwagę na pałac Denver-tonów. Jest pan niesłychanie zręczny, w trzy dni zrobił pan to, co my przez cztery lata. Zainteresował się pan mianowicie domem Schneidera.

— A w jaki sposób panowie wpadli na trop?

— Pomógł nam przypadek. Pewnego razu Arno, detektyw w służbie Mikada, spędzał urlop w Europie. Któregoś dnia ujrzał on człowieka, zatrutego chińskim jadem, którego działanie było mu dobrze znane. Tym człowiekiem był Schneider. Zawiadomił wobec tego władze, które rozkazały mu pozostać na miejscu.

Arno, polecony przez Mr. Lamy, został zaangażowany w charakterze ogrodnika.

— Czy zauważyliście tam wielką ptaszarnię? To jest tylko podstęp sprytnego agenta. Wiedział on bowiem doskonale, że ilekroć zjawia się „Tajemniczy Głos“, wszystkie ptaki giną w dziwny

sposób miazdzone. Rzecz dziwna, ale prawdziwa. Stwierdziliśmy ją dokładnie, chociaż nie potrafimy jej wyjaśnić. Ptaki rzeczywiście ginęły i Arno znajdował tylko ich zakrwawione szczątki.

Dobrze się stało również, że pozbyliśmy się Su-Su, który udawał naszego przyjaciela a okazał się zdrajcą, biorąc udział w porwaniu naszych przyjaciół.

— A teraz zechcą pewnie panowie odpocząć? — Zabrał po raz pierwszy głos Mr. Lamy. — Sądzę że sen będzie najlepszym lekarstwem dla Arno, którego nasz przyjaciel Mr. Wills porządnie pokiereszował. Panom też należy się odpoczynek. Będę szczęśliwy, jeżeli panowie będą się czuli u mnie, jak u siebie w domu.

Ale Harry Dickson potrząsnął przecząco głową.

— Zdaje się że... tę noc przepędzimy bezsen- nie. W każdym razie ja napewno i mój uczeń również...

— Jeżeli pan pozwoli, to będziemy mu towarzyszyć...

— Zbyt wielka ilość osób może zaszkodzić naszej sprawie. Jeszcze jedno pytanie, doktorze Matsuko... Czy te ptaki ginęły nocą?

— Tak jest, Mr. Dickson.

— I „Głos“ również wybierał nocną porę?

— Przeważnie... Czy wyciągnął pan już jakieś wnioski?

— Narazie nie. Ale przy odrobinie szczęścia, może mi się to uda.

Tajemniczy głos

— Niestety, Tom, nie będziemy spać tej nocy, wracamy do Luksemburga.

— Trudno — odparł Wills, — zajmując miejsce w wozie kierowanym przez mistrza. — Ale... ale... zapomniał mi pan opowiedzieć, co się zdarzyło w cza sie mojej nieobecności.

— Moja opowieść będzie bardzo krótka. Zajmie mi zaledwie dwie minuty...

Otóż zaledwie dostałem się do wnętrza domu Schneidera, usłyszałem jakieś głosy, dochodzące z najbliższego pokoju. Usłyszałem jakieś słowa nie w języku chińskim, ale, o dziwo, w japońskim.

Wiedziony ciekawością, zajrzałem przez dziurkę od klucza. Jakież było moje zdumienie, kiedy ujrzałem znajomych mi detektywów japońskich, z którymi, niejednokrotnie byłem w kontakcie. Okazało się, że znajdują się nie na wrogim, ale na przyjaciel- skim terenie. Nie wahając się dłużej, pchnąłem drzwi i wszedłem nagle do środka. Nie potrafię ci opisać, jakie miny mieli ci zaci Japończycy. Szybko porozumieliliśmy się i wówczas okazało się, że różnymi drogami dążymy do tego samego celu.

— Bunny Lipton nudzi się pewnie w Londynie, — wtrącił Tom.

— Może teraz odpoczywać, ile zechce. Cała u- waga wrogów skoncentrowała się bowiem na nas.

Droga do miasta dłużyła się w nieskończoność. Nagle z mroku wyłoniły się wysokie skały. Harry Dickson zatrzymał wóz.

— Czy to już Biuzel? — zapytał Tom.

— Jeszcze kilometr, ale resztę drogi przebę- dziemy pieszo. Powodzenie naszej sprawy zależy od tego, aby nas nikt nie spostrzegł.

Tom Wills zadrżał na widok długiego sztyletu, o czarnym ostrzu, który detektyw wyciągnął z kieszeni.

— Mistrzu, czy użyjesz tego strasznego narzędzia?

— To się okaże, — odparł chłodno detektyw. — Na razie proszę cię, abyś mówił tylko wtedy, kiedy otrzymasz ode mnie zezwolenie.

Szli długo w milczeniu brzegiem drogi. Nagle Harry Dickson zatrzymał Toma i wskazał mu skaliste zbocze. Dotarli do Binzel-Schleft.

Noc naznaczyła te miejsca cieniem grozy i niesamowitości. Zewsząd zdawało się coś grozić, a natrętnych przybyszów otoczyły wrogie siły.

Znanymi schodkami dotarli do skalistej płaszczyny a stamtąd zagłębili się w ciemny las otaczający zbocze.

Ponieważ na niebo wypłynął księżyc, obaj detektywi mogli teraz posuwać się naprzód bez obawy o potknięcie się.

Z głębi lasu dobiegł ich nagle jakby krzyk, jakby nawoływanie... Odgłos ten, to zbliżał się, to znów oddalał, aż wreszcie gdzieś, w oddali zagaśniał...

W pewnej chwili w nikłym świetle księżycy Tom ujrzał swego mistrza czołgającego się po mchu, z wyciągniętą naprzód prawą ręką. Rękę poprzedzał jakiś cień i Wills rozpoznał w nim szylet o czarnym ostrzu...

Nagle obok nich, tuż blisko rozległ się znów jakiś dziwny odgłos.

— Co to takiego? — zapytał szeptem Tom. — Ten odgłos jest straszny i przejmujący...

— To chińska świstawka... przyrząd do wabięcia ptaków — wyjaśnił Dickson. — Używają jej chińscy kłusownicy. — Ten dźwięk pobudza w dziwny sposób niektóre ptaki, szczególnie kuropatwy i bażanty, które przylatują na miejsce, skąd się wydobywa. Posłuchaj, chłopcze, znów się powtarza.

— Tak... tak... tak...

Odgłos stawał się coraz bliższy, coraz wyraźniejszy. Tom zauważył, że jego mistrz zerwał gałązkę z najbliższego krzaka, połamał ją i włożył do ust. Oszołomiony Tom usłyszał urywane dźwięki o brzmieniu analogicznym do tych, które przed chwilą rozbrzmiewały pod drzewami.

Na odpowiedź nie czekali długo. Zabrzmiała ona rozgłośnie, tym razem zupełnie blisko.

Harry Dickson wyciągnął z ust zaimprovizowaną świstawkę i zastygł w oczekiwaniu.

— Uwaga! Tom! Nabij rewolwer, ale użyj go tylko w wypadku, gdyby groziło nam niebezpieczeństwo.

— Tak... tak... tak...

Tom odwrócił głowę w stronę, skąd dochodziły dźwięki zupełnie teraz głośnie i... ujrzał...

Od drzewa do drzewa pełzała jakaś dziwna postać. Na wykrzywionych, krótkich nogach umieszczony był wielki tułów, z głową głęboko schowaną w ramionach. Postać ta przypominała trochę karła, a trochę małpę. Tom Wills poczuł rękę mistrza na swym ramieniu. Była to wskazówka, aby zachować spokój i zimną krew. Dziwna kreatura posuwała się tymczasem naprzód i nagle znalazła się w miejscu zalanym księżycową poświatą. Obaj przyjaciele ujrzeni jej całą potworność.

Młodzieniec omal nie krzyknął z przerażenia. Odległość między straszliwą zjawą a nimi zmniejszała się już do dziesięciu kroków.

Tak... tak... tak...

Monstrum zdawało się nie dostrzegać pułapki. Zsuwając się po ziemi, zdążyło wprost do kryjówki detektywów, którzy znajdowali się w cieniu krza-

ków. Karzeł dosięgnął krzewów i ramieniem począł odgarniać gałęzie i liście. W tej samej chwili wysunęła się ręka detektywa i jak błyskawica zadała cios.

Rozległ się przeciągły jęk... a potem cisza. Karzeł leżał nieruchomo na ziemi, z jednym ramieniem wyciągniętym w stronę krzaków, straszliwą łysą czaszką pokrytą łściami i przymkniętymi oczami. Nagle przewrócił się na bok i skonał.

— Pomóż mi Tomie zanieść „to“ do auta! — rozkazał detektyw.

Tom wypełnił polecenie ze wstrętem.

— Cichutko... cichutko, chłopcze — upominał detektyw, schodząc w dół po stopniach.

— Jakto, mistrzu, przecież „Tajemniczy Głos“ umarł. Cóż on nam teraz może zrobić?

— Niestety, mylisz się. Nie umarł on i dlatego grozi nam nadal wielkie niebezpieczeństwo. Czy przypominasz sobie te celne strzały na górze?

Tom Wills pragnąłby jeszcze dalszych wyjaśnień, ale znając mistrza zaniechał pytań, zdając sobie sprawę, że pora jest to tego zgoła nieodpowiednia.

— Podjedź tutaj szybko i zaraz wracamy do Arlon — rzekł detektyw.

— Urządzamy dziś regularną komunikację — zauważył Tom, a nasza maszyna służy dziś po raz drugi za karawan!

W powrotnej drodze Harry Dickson odetchnął z ulgą.

— Całe szczęście, że „jego“ nie było, gdyby nie to, moglibyśmy naszą wycieczkę drogo przypłacić.

— Kogo? — zapytał Tom — czy „Tajemniczego Głosu“?

— Oczywiście... Czyś mógł przez chwilę myśleć, aby to pół-zwierzę mogło posługiwać się jakimś cywilizowanym językiem jak „Głos“, który nie tylko mówi doskonale po angielsku, ale potrafi również zrećnie posługiwać się rewolwerem.

Kiedy przyjaciele przybyli do Arlon, otoczyli ich kołem Japończycy i Mr. Lamy. Oglądali ze zdziwieniem straszliwy łup.

— Sądzę, że jest to orang-lord z Borneo, — rzekł doktor Matsuko. — Są to dziwne stworzenia, które można wytresować i które łatwo przywiązują się do swoich panów. Czy są to ludzie, czy małpy, trudno rozstrzygnąć. W gniewie są straszni. Wiem, że kilku chińskich mandarynów miało te stworzenia na swoich usługach.

— A „Tajemniczy głos“? — zapytał Saito.

— Żyje jeszcze, ale to nie potrwa długo, przysięgam wam. Mr. Lamy, proszę się zwrócić do władz wielkiego księstwa, aby zabroniły publiczności w ciągu ośmiu dni zwiedzić Binzel. Jest to konieczne.

A teraz panowie, pozwolicie, że ja i mój uczeń odpoczniemy trochę. Słusznie się to nam należy. Już świta!

Na Binzel-Schleft

Harry Dickson spędził cały następny dzień na włóczędce po okolicach Arlon, a po obiedzie zamówił rozmowę telefoniczną z Londynem.

Bunny Lipton nudził się niesamowicie.

— Mój biedny Bunny — radził mu detektyw — uzbrój się w cierpliwość! Na razie polecam ci kieliszek whisky i pisma humorystyczne...

Dopiero nazajutrz postanowiono powrócić do Luksemburgu. Okazało się, że w domu Schneidra, żadne wypadki godne uwagi w międzyczasie nie za-

szły. Arno zakomunikował, że właściciel znajduje się wciąż w stanie odurzenia. Oznajmił również, że nie żywi do Toma urazy za ciosy, którymi go młodzieniec poczęstował i zaprosił wszystkich na wino, aby godnie uczcić wzajemną przyjaźń.

Minęła godzina.

— A teraz — postanowił Harry Dickson — pojedziemy do Binzel...

Arno poprowadził swoją maszynę, zaś Tom zasiadł przy kierownicy „Chevroletki”. W wyprawie tej towarzyszył im przedstawiciel policji Wielkiego Księstwa.

Kiedy zaczęli się wspinać na skaliste stopnie, Harry Dickson nad czymś głęboko rozmyślał.

— Sądzę, że dwa dni wystarczą, aby nie mógł dłużej opierać się — szepnął. — Niestety, nic nie można przewidzieć.

Doktor Matsuko zbliżył się nagle do detektywa i szepnął mu coś na ucho. Harry Dickson uśmiechnął się.

— Ma pan rację, doktorze! — Zauważyłem narychm'ast małe plamy za uszami Orang-lorda, ale przyznam się, że nie od razu wpadłem na ten domysł. To prawda, opowiadają, że w otoczeniu straszliwego Fuli-Suh...

Nie dokończył. Wszyscy bowiem zatrzymali się nagle, i zaczęli z przerażeniem na siebie spoglądać.

Z głębi lasu dobiegł ich rozdzierający, przenikliwy krzyk. Brzmiał on tak niesamowicie, że wywołał dreszcz grozy.

— To nie do zniesienia — szepnął Arno blednąc, — nigdy nie słyszałem jeszcze czegoś bardziej okropnego.

Matsuko zwrócił się do Harry Dicksona, który nad słuchiwał z wyrazem najwyższego napięcia.

— Pan sądzi...

— ...że on umiera — dokończył detektyw.

— Umiera? Dlaczego? — zapytał Tom.

— Z głodu! — odparł krótko Dickson.

Saito zabrał nagle głos:

— Przypomina mi to pewną torturę chińską, przy której asystowałem. Tak jęczał bandyta, którego żywcem umieszczono w mrowisku.

— To straszne — szepnął Harry Dickson. — Ryzykujemy życie, zbliżając się do niego...

— Czy to człowiek? — zapytał znów Tom.

— Zaledwie... — mruknął Dickson.

— Na czole detektywa pojawiła się głęboka bruzda.

— Musimy jednak interweniować, choćby to nas miało drogo kosztować... Jeżeli to są te wielkie mrówki...

Dickson sam postanowił działać. Wydał odpowiednie rozkazy i sam ruszył naprzód, a za nim w pewnej odległości dr. Matsuko.

Głos ucichł prawie zupełnie, a idących dobiegała teraz tylko żalonna skarga.

Harry Dickson usłyszał nagle wyraźne słowa:

— Za późno! „Droga bogów!”

Przed detektywem otwarła się szeroka polana, otoczona dokoła drzewami. Kiedy Dickson znalazł się na brzegu, schronił się za gruby pień drzewa i spojrzął przed siebie. Matsuko, łamiąc zakaz, zbliżył się doń.

— Czy widzi pan co, Mr. Dickson? — zapytał szeptem

Detektyw zaprzeczył ruchem głowy. W polu widzenia znajdowały się niskie krzewy, trawa i mech. Nic nie zdradzało czyjejkolwiek obecności,

choć głos przed chwilą dochodził z samego środka tej polany.

— Mrówki! — krzyknął nagle Japończyk.

Wielka, ruchliwa, czerwona masa poruszała się na środku łąki, pokrywając niewielki przedmiot, który z daleka robił wrażenie małego wzniesienia ziemi.

— Skończone! „Droga bogów”... — jęczał ktoś, kogo żywcem objadały mrówki.

— O nieba — jęknął Matsuko. — To straszne!

Czy usłyszano ten okrzyk? Nagle bowiem uniosło się wychudłe ramię i skierowało w ich stronę wielki rewolwer. Huknęły dwa strzały, a ramię opadło między rojące się robactwo.

Harry Dickson wyrwał pęk suchej trawy, przywiązał do grubej gałęzi, zapalił i zbliżył tę płonąca żagiew do mrowiska.

Milionowa armia pierzchła w popłochu, zostawiając na placu boju dziwną zdobycz. Była to ludzka głowa nawpół obgryziona przez mrówki, połączona wąską szyją z małym korpusem o jednym ramieniu.

Matsuko, ogarnięty przesadnym strachem, cofnął się w tył.

— Przypuszczałem, że to on... Budda żyjący! Budda wampir! Ale nie ja, a pan go znalazł!

Na odgłos strzałów nadbiegła reszta uczestników.

Japończycy, Tom Wills, Mr. Lamy i delegat policji Wielkiego Księstwa przyglądali się tej scenie z przerażeniem.

— Panowie — rzekł Harry Dickson, — dramat został ostatecznie zakończony, ponieważ ostatni aktor opuścił już scenę. Została tylko jeszcze część tajemnicy, ale klucz do jej rozwiązania znajduje się w Londynie.

— A więc jedziemy! — krzyknęli z entuzjazmem Japończycy.

— Macie panowie jeszcze dużo czasu! Umawiamy się za rok w pałacu Deuvertonów... Tym razem nie roześle się zaproszeń. Panowie będą jedynymi gośćmi na ostatniej uczcie wydanej przez lorda Deuvertona.

„Droga bogów”

W wielkiej sali przyjęć pałacu Deuvertonów lord gościł tym razem niewielką ilość zaproszonych. Przy wielkim stole siedział słynny detektyw Harry Dickson, jego uczeń i sekretarz Tom Wills, trzech japońscy detektywi Matsuko, Soito i Timotu oraz Bunny Lipton, specjalnie przybyły na ten wieczór z Chin.

— Czy czekamy na kogoś, Mr. Dickson? — zapytał lord Deuverton.

Detektyw był wyraźnie roztargniony.

— Nie, a właściwie tak... Czekam na coś, sir, ale sam jeszcze nie wiem na co...

Odsunął kieliszek koniaku i wpadł w zadumę.

— Co rok, o wyznaczonej godzinie, mają się zebrać... — szeptał — w tej sali przyjęć. Nic tutaj nie wolno zmieniać! To może mnie naprowadzi wreszcie na właściwy ślad.

Wsunął się głębiej w fetel i utkwiał wzrok w suficie. Nagle współbiedniacy usłyszeli jego cichy śmiech.

— To jest przecież zupełnie jasne — rzekł głośno.

Wychylił koniak jednym haustem.

— Panowie, jestem na tropie... Musimy jeszcze trochę poczekać.

— Jak długo? — zapytał niecierpliwie lord.

Harry Dickson spojrzął na witraż w suficie i rzekł:

— Hm... powiedzmy, dwadzieścia minut.

Japończycy spojrzeli na detektywa z odrobiną zazdrości i podziwu.

— Dziesięć minut! — oznajmił Bunny Lipton.

Oczy Harry Dicksona skierowane były w stronę sufitu.

Przez witraż przedostał się promień słońca i oświetlił wnętrze pokoju. Obecni zauważyli, że detektyw oddychał głęboko, i nerwowo zaciskał ręce.

Nagle zerwał się z krzesła i skoczył do sąsiedniej ściany.

— Dajcie mi laskę, kij, lub cośkolwiek w tym rodzaju — krzyknął.

— Zerwał szablę zawieszoną na kilimie i uderzył z całej mocy w mur w miejsce oświetlone przez słońce.

Rozległ się głośny huk i część ściany zawałiła się z trzaskiem. Goście i lord Denverton krzyknęli głośno na widok tajemnych schodów z białego marmuru, które im się teraz ukazały.

Harry Dickson zwrócił się do towarzyszy:

— Panowie, czy chcecie mi towarzyszyć na „Drodze bogów?“

— A więc jednak istnieje coś takiego? — zawołali niemal jednocześnie Matsuko i Bunny.

Zaczęli piąć się po stopniach marmurowych schodów. Zagroziły im drogie wielkie hebanowe drzwi inkrustowane złotem i kością słoniową. Detektyw nacisnął srebrną kłankę i nagle wnętrze zalane zostało jaskrawym światłem. Wzdłuż schodów zapłonęło szereg lamp elektrycznych.

Nie wahając się dłużej, Harry Dickson otworzył drzwi.

Nozdrza przybyszów uderzył zmieszany zapach piżma, kadzidła i myrry. Ujrzeni wspaniały pokój, urządzone na wpół po europejsku, z wielkim przepychem.

— Człowiek! — krzyknął nagle jeden z japońskich detektywów.

Na fotelu za biurkiem siedział jakiś człowiek odziany w kimono i zdawał się spać.

Harry Dickson spojrzął z uwagą na jego żółtą twarz, skośne oczy i pergaminową cerę.

— Nie żyje! — rzekł. — Istnieją w Chinach pewne trucizny, które chronią ludzkie ciało od rozkładu przez wiele lat po śmierci.

Nagle Matsuko krzyknął ze zgrozą w głosie.

— Mr. Lipton! — Czy poznaje go pan?

— Niemożliwe! — szepnął Bunny. — Widziałem go tylko jeden raz... ale to on!... Mandaryn Fuh-Suh! Najstraszliwszy mandaryn państwa Żółtego Smoka!

Harry Dickson zbliżył się do zmarłego Chińczyka trzymając w ręku chustkę, którą uprzednio zamurzył w alkoholu.

— Panowie, a zwłaszcza pan lordzie Denverton, proszę przysunąć się do mnie.

Nachylił się nad Chińczykiem i przetarł mokrą chusteczką jego policzki.

Żółty kolor zaczął ustępować... Skośne oczy przybrały inną formę a na twarzy ukazały się zmarszczki...

— Boże! — krzyknął nagle lord — Przecież to mój stryj, lord Denverton!

— ...który dla całego świata był straszliwym Fuh-Suh — wyjaśnił detektyw.

★

Kiedy wreszcie zebrali się wszyscy w oddzielonym pokoju, aby podzielić się wrażeniami, Harry Dickson zabrał głos:

— Przetrasając pamiętnik lorda Denvertona, dowiedziałem się, że odbył on we wczesnej młodości podróż do Chin. Wówczas zapewne rzucił się w nurt tej nieprawdopodobnej awantury.

Początek przygody jest dość mglisty, i nie trudę się, aby go zrekonstruować, ponieważ nie jest dla nas ciekawy.

Denverton poznał na uniwersytecie kolege, nazwiskiem Schneider, który do złudzenia przypominał jego samego. Lord uznał to za znak niebios. Sobowtór jeździł po wszystkich miastach Europy na koszt lorda, i Denverton mógł sobie w ten sposób urządzić podwójne życie. Podczas rzadkich powrotów lorda do Londynu, Schneider chował się w swoim rodzinnym mieście, Luksenburgu.

Tymczasem zrodził się Fuh-Suh, straszliwy mandaryn, wojownik i zdobywca, postrach żółtego cesarstwa.

Z biegiem czasu tak się wżył w swoją rolę, że uwierzył w swoje chińskie posłannictwo. Uważał się za prawdziwego mandaryna, zdobywcę i bohatera chińskiej legendy, która głosiła, że dzielny wojownik Fuh, powróci „Drogą bogów“ i królestwa cieni, choćby to trwało wiele, wiele lat, i podejmie na nowo swą świętą misję.

Ulegając temu wierzeniu, Denverton przygotował wszystko do swego powrotu na ziemię. Powrócił do Londynu, kazał wybudować w swym pałacu kryjówkę (którą przed chwilą odnaleźliśmy) i zredagował odpowiednio testament. Wszystko zostało przemyślane tak, jak głosiła legenda: w oznaczonym dniu słońce otworzy „Drogę bogów“, którą mandaryn zjedzie do swych towarzyszy. Denverton „pomógł“ nieco bogom, kazał skonstruować przy wejściu do tajemniczej kryjówki słoneczny zamek. Kiedy promień słoneczny przedostaje się przez witraż i zatrzymuje na określonym miejscu, pod wpływem ciepła umieszczony w zamku metal, wyjątkowo podatny, rozszerza się i otwiera przejście.

Gdyby w tym momencie mandaryn został wskrzeszony, otworzyłby tylko drzwi i połączył z żywymi. Gdyby zaś chwila taka nie nadeszła, po upływie jakiegoś czasu, zamek po ochłodzeniu się, zamyka skrzętnie przejście i wszystko znów czeka do następnego roku...

Dlatego też, jak to zapewne zauważyliście, uderzyłem w miejsce, zalane słonecznym światłem. Cała ta historia była dziwną mieszaniną fanatycznych wierzeń, przesądów, nauki i chytrłości. Ale to nie wystarczało. Potrzebni byli pomocnicy. Rola ta przypadła w udziale żyjącemu Buddzie, istocie na pół ludzkiej, obdarzonej jednak wybitną inteligencją. Ten zaś posługiwał się dziwnym potworkiem orang-lordem.

Budda służył wiernie swemu panu i podążył za nim do Europy. Aby uchronić się od ciekawości obcych, zamieszkał w domu Schneidera w Luksenburgu. Dlaczego jednak nie pozbył się właściciela?

Łatwo odpowiedzieć na to pytanie. Żyjący Budda wierzył fanatycznie w posłannictwo stra-

szliwego mandaryna. Rozumiał, że na wypadek zmartwychwstania Fuh-Su'a obecność Schneidera stanie się niezbędną. Zadowolił się jego psychiczną śmiercią, wstrzykując mu tajemniczą chińską truciznę.

Nie muszę chyba dodawać, że Budda — zafany poplecznik mandaryna, nie przebierał w metodach walki.

— Dlaczegoż więc nas nie zamordował? — zapytał Tom Wills. — Miał przecież niejednokrotnie okazję.

Harry Dickson odwrócił się w stronę Bunny Liptona.

— Mam wrażenie, że zawdzięczamy to naszemu agentowi i jego roli, którą odegrał w Chinach. Przypomnijcie bowiem sobie, że na samym początku naszej wielkiej gry, straszliwy karzeł usiłował mnie uśmiercić, rzucając we mnie sztyletem w chwili, gdy młody lord powierzał mi całą sprawę. Na moje szczęście lepiej posługiwał się rewolwerem, niż sztyletem. Musiał sobie potem widocznie wykombinować, że ja i Tom Wills stanowić będziemy wielką wartość, jako zakładnicy na wypadek, gdyby Bunny Lipton rozwikłał tajemnicę „Drogi bogów“.

— Czy mogę zapytać, co to za stworzenie ten żyjący Budda? — zwrócił się Tom do towarzyszy.

Bunny Lipton odpowiedział:

— W Chinach potrzebne są bonzom kreatury, które rozbudzałyby lęk i jednocześnie adorację tłumów. W tym celu kapłani odbierają rodzicom małe dzieci, wychowują je i przez zaszczerpanie najrozmaitszych trucizn zniekształcają je, hamują w rozwoju fizycznym, a jednocześnie rozwijają ich umysły. Tego rodzaju stworzenia używane są potem do różnych celów, a mandaryni nabywają je mimo niesłychanie wysokich cen.

— A co mieli oznaczać ci złoczyńcy, których zapraszano na ucztę?

— Wszystko miało być tak, jak w legendzie. Gdyby Fuh-Suh zjawił się rzeczywiście, zapewne czułby się dobrze wśród takiego otoczenia. Zaproszenia rozsyłał żyjący Budda.

— Wampir — szepnął Matsuko.

— To prawda, wyjaśnił Harry Dickson, — nie posiadał organów trawiennych i żywił się krwią. Przyszło mi to właśnie na myśl, kiedy dowiedziałem się o tym co się dzieje w ptaszarni Schneidera. W chwili, gdy wpadł w nasze ręce, połował na kuropatwy.

Lord Denverton kazał podać szampana.

W pewnej chwili jeden z Japończyków podniósł w górę kielich z musującym napojem i rozjejrzawszy się wokół, z niepokojem zawołał:

— Zdaje się, że się coś pali!

Zaledwie wyrzekł te słowa, a już kłęby ciemnego dymu przysłoniły pokój, z tajemniczego zaś miejsca zaczęły wydobywać się ogniste języki.

Ze wszystkich stron rozległy się krzyki:

— Ogień! Pali się!

Harry Dickson rzucił się ku schodom, wiedzącym do ukrytego pokoju.

— Napróżno! — krzyknął Bunny. — Wszystko już spłonęło! Papiery również...

Pożar rozszerzał się. Trzeba było uciekać. Kiedy znaleźli się na ulicy, pałac Denvertonów płonął już jak świeca.

— Przypuszczam, że i to było przewidziane — rzekł doktor Matsuko. — Na wypadek niepożądanych odwiedzin, sekretny system zegarowy zaczął działać...

— Hm, — mruknął detektyw, — najważniejsze chyba jest to, że Fuh-Suh już nie istnieje!

Zdawało się, że w ten sposób tajemnica „Drogi bogów“ została ostatecznie wyjaśniona. Harry Dickson był przekonany, że wraz z Tomem będzie mógł poświęcić się teraz zasłużonemu „dolce far niente“, gdy nieoczekiwanie zaszły nowe wypadki, które na całą sprawę rzuciły nowe, zagadkowe światło.

W chwili, gdy znakomity detektyw w głębokim fotelu, w mieszkaniu swym na Bakerstreet, zagłębił się w lekturze ostatniego numeru „Timesa“, zadzwonił nagle telefon. Detektyw nie rozstając się ze swą ulubioną fajką, sięgnął po mikrofon:

— Halo! Tu Lipton... Stało się coś nieoczekiwane, mistrzu. Musi pan ze mną natychmiast pojechać do Luksemburgu. Schneider ciężko zachorował i mam wrażenie, że na łożu śmierci zechce nam odsłonić tajemnicę ostatniego pożaru...

— Zgoda — odparł detektyw. — Za kwadrans spotkamy się na dworcu.

Pakowanie walizki trwało pięć minut. Po chwili Dickson znalazł się już w aucie i pełnym gazem pędził na dworzec. Na miejsce przybyli niemal w ostatniej chwili.

U drzwi powitał ich z zatroskaną miną Arno.

— Mam wrażenie — szepnął — że Schneider przeżywa już swe ostatnie chwile. Proszę panów za mną...

Harry Dickson i Lipton znaleźli się w mrocznym pokoju, oświetlonym jedną tylko słabą żarówką. Pod ścianą, na sofie leżał Schneider, który drzemał i dopiero po wejściu gości, ocknął się. Słaby refleks światła, który padał na oblicze leżącego ukazał przybyłym śmiertelną bledosć tej twarzy, która wyniszczona przez działanie tajemniczej trucizny, czyniła teraz wrażenie wyjątkowo przykre i przynębiające. Było to już pierwsze tchnienie zbliżającej się śmierci.

Dickson, który natychmiast zorientował się, że za chwilę, tajemniczy Schneider przeniesie się do wieczności, rzucił pytanie, jakby z pośpiechem:

— Czy lord Denverton zmarł w tym domu? Czy zwłoki jego przewieziono stąd do Londynu?

Wprawdzie w oczach Schneidra widać było przebliski świadomości, ale nie ulegało wątpliwości, że była to już prawie agonია.

W tej samej chwili, Dickson wpatrując się w oczy umierającego, jakby chcąc wyczytać z nich odpowiedź na swe pytania, instynktownie cofnął się. Był pod wrażeniem niezwykłego podobieństwa Schneidra i zmarłego lorda Denvertona.

— Toż to przecież jedna twarz — szepnął do siebie ze zdumieniem...

W tej samej chwili stało się coś zgoła nieoczekiwane. Konający, jakby ostatnim wysiłkiem, unosił nagle rękę, wypięził ją i wymierzył w kierunku Dicksona. Ale ramię zadrżało a ze zmartwiłej ręki wypadła na podłogę zdradziecka broń.

Detektyw schylił się i podniósł platynowy sztylet, ten sam, którym raz już usiłowano pozbawić go życia. Spojrzał znów w twarz Schneidra. Oczy skrzyły się błaskiem dzikiej nienawiści, a zacśnięte początkowo usta otworzyły się naraż ostatni:

— A jednak powróciłem „drogą bogów“... — szepnął.

Dickson nachylił się i z naprężeniem czekał choćby na jeszcze jedno słowo. Ale Schneider skończył...

Bunny Lipton i Harry Dickson opuścili ponury dom w ciężkim nastroju. Było bowiem jasne, że właściwie zagadki nie rozwiązali.

— Schneider, czy Denverton? Który z nich był mandarynem Fuh-Suh?

Żaden z nich na pytanie to nie potrafił uzielić odpowiedzi.

Express z zawrotną szybkością zbliżał się do Londynu. Dickson wsparty na poduszkach błędził

jeszcze myślami po pałacu Denvertonów i ponurym domu luksemburskim.

Wsluchiwał się w miarowy turkot kół, które powtarzały niezmiennie:

-- Schneider... Denverton... Schneider... Denverton...

— Fuh-Suh... Fuh-Suh... — syczał, jakby w odpowiedzi parowóz...

— Właściwie jest to już dziś bez znaczenia — szepnął do siebie detektyw opierając zmęczoną głowę na poduszkach.

Po chwili zasnął...

Koniec.



Następny **Nr. 15 Harry Dicksona**, który ukaże się we wtorek, dnia 19-go kwietnia zawierać będzie przygodę p. t.

WIDMO TUŁACZA

CENA 10 GR.

CENA 10 GR



HARRY DICKSON

PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

Nie ma Amerykanina, Anglika czy Francuza, któryby nie słyszał wiele o Harry Dicksonie. A jednak trudno znaleźć na obu półkulach człowieka, który może powiedzieć, że widział kiedykolwiek Dicksona w rzeczywistej jego postaci. I właśnie w tej jego zdolności **przeistaczania się**, w niezrównanej jego sztuce **przeblerania się**, nadawania sobie coraz innego wyglądu, w nieporównanej **władzy**, jaką ma nad swoją **twarzą**, swym **głosem**, a nawet swym **wzrostem**, — tkwi widocznie **tajemnica niebywałych jego sukcesów w walce ze światem przestępczym**.

Te bowiem znakomite jego zdolności pozwalają mu poruszać się bez obawy zdradzenia się zarówno wśród sfer arystokracji, jak i najniższych warstw społecznych, nawet tam, gdzie męty i szumowiny knują swe zbrodnicze plany.

Harry Dickson walczy **ze zbrodnią, przemocą, nikczemnością i obłądą bez żadnego kompromisu, broniąc zawsze wszystkiego, co dobre, szlachetne i sprawiedliwe**.

Harry Dickson odznacza się **nieustraszoną odwagą**, jego **oko** przenika to, co jest najskrytszego, **ruchliwość jego umysłu** pozwala mu się wywikłać z najniebezpieczniejszej sytuacji, **spryt jego kombinacji** rozwiązuje najtrudniejsze zagadki kryminalne, a jego **żelazna energia i znajomość psychiki ludzkiej** prowadzą go zawsze do pożądanego celu.

Dotychczas ukazały się w sprzedaży następujące numery:

- | | |
|------------------------------------|---------------------------|
| 1. „WYSPA GROZY“ | 7. „GRAJĄCA WIEŻA“ |
| 2. „TAJEMNICA EGZOTYCZNEGO WŁADCY“ | 8. „KRÓL NOCY“ |
| 3. „ALARM W PRZESTWORZACH“ | 9. „POSEPNA KABALA“ |
| 4. „DOM NA MOCZARACH“ | 10. „TAJEMNICZY TRYBUNAŁ“ |
| 5. „LUDZIE BEZ ADRESU“ | 11. „KORONKI KRÓLOWEJ“ |
| 6. „SZALONY BURMISTRZ“ | 12. „KAPIANKA OGNIĄ“ |
| | 13. DOM, W KTÓRYM STRASZY |

Czytajcie

Czytajcie

PRZYGODY HARRY DICKSONA

Cena
10 gr.

Co tydzień ukazuje się jeden zeszyt, stanowiący oddzielną całość

Cena
10 gr.

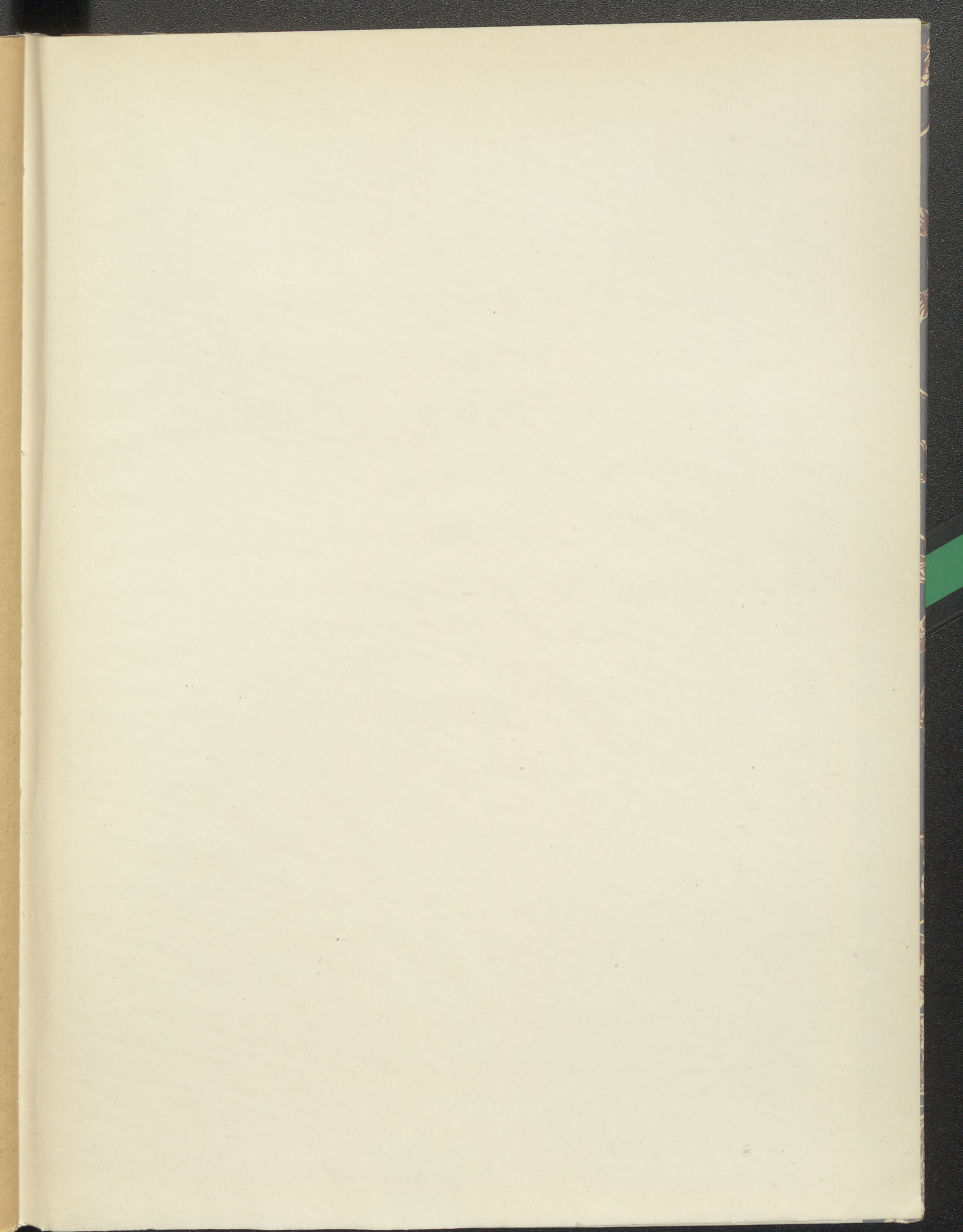
Wydawca: Wydawnictwo „Republika” Spółka z ogr. odp. Stefan Pietrzak

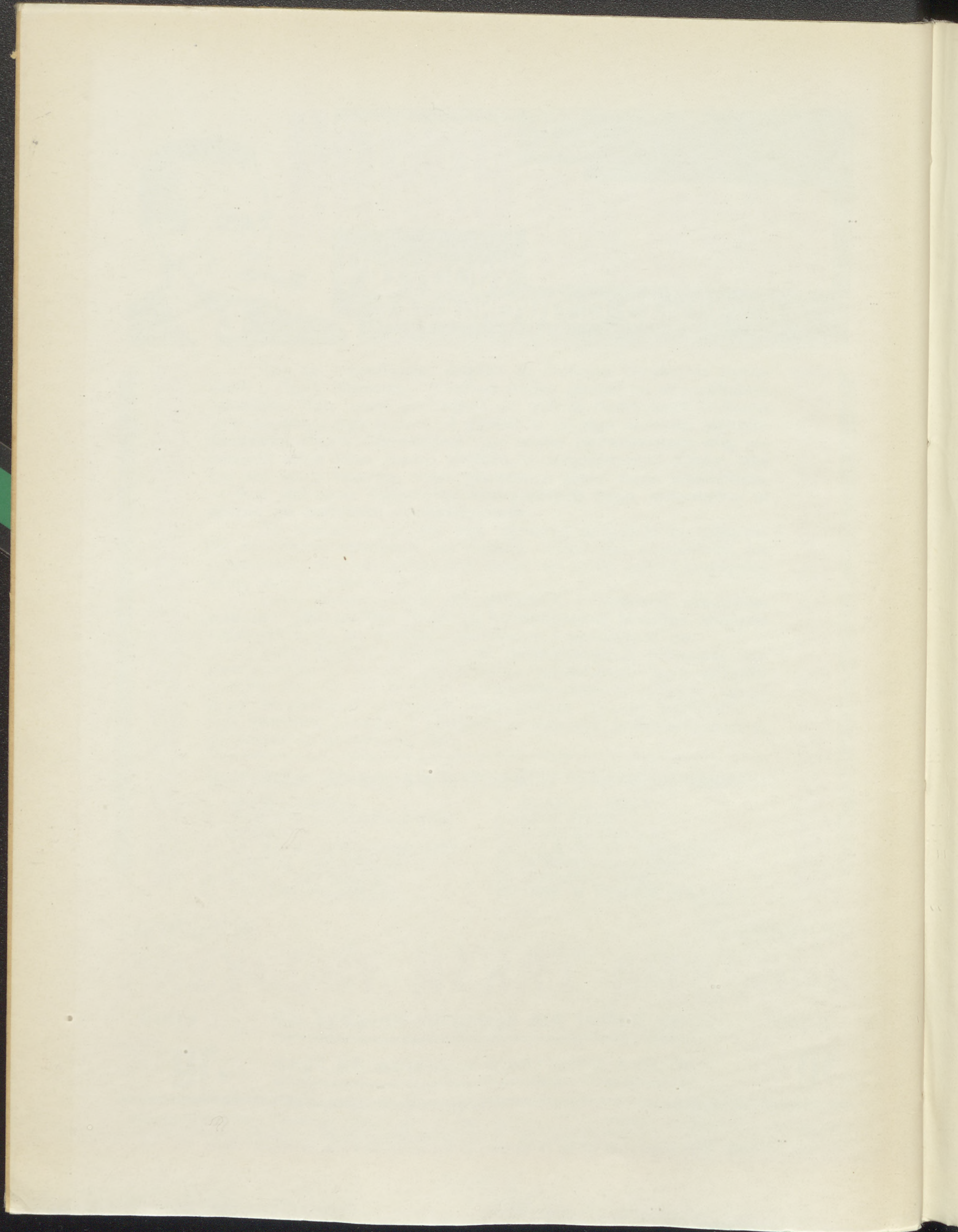
Redaktor odpowiedzialny: Stefan Pietrzak

Odbito w drukarni własnej Łódź, Piotrkowska Nr. 49 i 64

Konto PKO 68.148 adres Administracji: Łódź, Piotrkowska 19, tel. 122-14. Redakcji — tel. 136-56

3566/38





Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001024365893



21j
623405

14

